TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XVII ZESZYT 5—6

TREŚĆ

KRAKÓW, LISTOPAD 1933 R.
REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4.
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

WYDAWNICTWA
SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji „TATERNIKA“

	Zł.
TATERNIK, rocznik 1907, 1908, 1909 i 1911	wyczerpany
do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4—6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z dwoma zeszytami rocznika 1914	10·—
— 5 zeszytów za lata 1914—1927 . . .	8·—
— rocznik 1928, 1929 i 1930 po	6·—
— rocznik 1931	7·—
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929 — 1932 po	1·50
— zeszyty specjalne („łomnicki“ i „alpejski“) po . . , ...	2·—

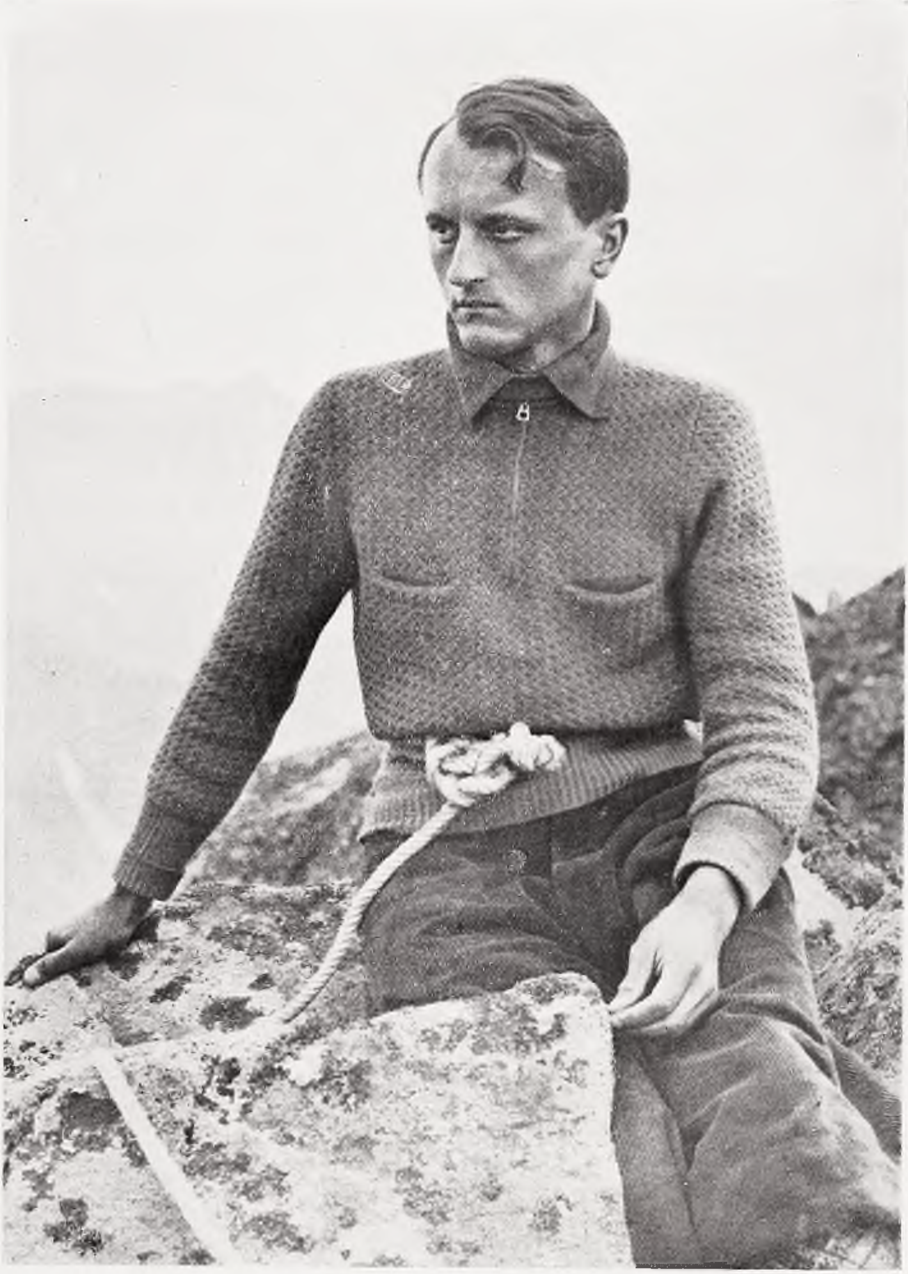
KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej, str. XII+ 82 1 knlb.+26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), tylko dla członków Sekcji.	10·—
II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII+192; mała 8-ka, opr.	2·—
— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA. Szkic. Osobne odbicie z „Taternika“ 1909 r. str. 17	wyczerpane

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.

PRENUMERATA ROCZNA „TATERNIKA“

wraz z przesyłką pocztową wynosi:
w Polsce . . . . 8 Zł.
zagranicą . . . . 12 „



30. VI. 1932. fot. H. W. Mogilnicki.

WIESŁAW STANISŁAWSKI NA WIERZCHOŁKU JAWOROWEGO ROGU.

TATERNIK

ROCZNIK XVII KRAKÓW, LISTOPAD 1933 R. ZESZYT 5—6

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE

ZESZYT POŚWIĘCONY PAMIĘCI WIESŁAWA STANISŁAWSKIEGO

* * *

Skała ucieka z pod mych stóp!
Lecz nie wzywałem pomocy.....
Alem tu dzisiaj przyszedł w nocy,
Gdzie leży mój skrwawiony trup.

Tyś świadkiem mym — nie płakałem,
Nie całowałem martwych warg,
Anim nie tulił swoich bark,
Krwi swej do ręki nie brałem.

Alem wszedł w zerwy twoich skał
I wydostałem się na szczyt.
Tam stałem długo szczęścia syt.
Wiatr mnie poranka w wieczność zwiał.

WIESŁAW STANISŁAWSKI

WIEŚKOWI

Kto choć trochę interesował się rozwojem taternictwa ostatnich lat, kto choć pobieżnie przeglądał zestawienia nowych dróg i problemów — ten wie jaką rolę w sporcie wysokogórskim grał ś. p. Wiesław Stanisławski, i jakie miejsce wśród czołowych taterników zajmował. Mowa o tem będzie w następnych artykułach i zestawieniach. Tu chciałbym tylko w słowach prostych, najprostszych, z głębi serca płynących, powiedzieć o tem, co w katastrofie nad Kościółku straciliśmy my — Jego koledzy i przyjaciele.

Był wśród nas jednym z najmłodszych... Miał zaledwie 24 lata, lecz nie bacząc na tak młody wiek i stosunkowo krótką karjerę tatemicką, zajmował miejsce wyjątkowe, był swego rodzaju autorytetem i gwiazdą pierwszej wielkości. Pamięć Jego wśród nas będzie się zawsze łączyła z obrazem kolosalnej energji i wprost wyjątkowego zasobu sił życiowych. Kto jak On potrafił dzień w dzień szturmować drogi najcięższe lub prowadzić nowe, kto jak On cierpiał, dosłownie cierpiał, gdy siąpawica tatrzańska zamykała drzwi schroniska i kazała odkładać plany odkrywcze, kto jak On potrafił w ciągu tak krótkiego czasu poznać Tatry tak wszechstronnie, tak drobiazgowo, i zebrać wspaniały ilościowo, a jedyny pod względem jakości, dorobek taternicki?

Kochał góry w słonecznej pogodzie i w kurniawie zimowej, kochał chropawy, twardy granit i ciężką, żmudną robotę w lodzie, kochał szalony pęd zjazdów narciarskich i długie wieczory w schroniskach, gdzie opowiadaniami pełnemi humoru i dowcipu potrafił bawić nas do późnej nocy.

Nieraz grozę gór widział zbliska. Nieraz śmierć zaglądała Mu w oczy i zabierała towarzyszy najbliższych, nieraz zły los zmuszał Go do oddawania ostatniej przysługi tym, którzy na zawsze wśród gór pozostali. Jego los oszczędzał, on sam wychodził zawsze cało i znów wracał pełen chęci walki, walki twardej, męskiej. Nadewszystko kochał tę walkę, marzył o wyprawach w wielkim stylu, o wyprawach gdzie człowiek całkowicie tylko na sobie może polegać.

Zginął nie na drodze w wielkim stylu, nie na okrzyczanym problemie, lecz na Kościółku w Dolinie Batyżowieckiej. Miał zamiar właśnie »wykańczać perełki Tatr«, jak się niedługo przed śmiercią wyraził.

W świecie taternickiem, jak i w życiu codziennem, był tak wybitną indywidualnością, że obok niej obojętnie nie można było przejść. Miał wrogów, ale miał też dużo, bardzo dużo serdecznych przyjaciół. Myśmy Go kochali, dlatego teraz nam Go tak strasznie brak...

WIKTOR OSTROWSKI

Na dnie serc taternickich zrodził się nieodstępny towarzysz wszystkich walk — lęk. Nazywamy go różnie: emocją, szczęściem zdobywania. W każdym razie, zgadzamy się wszyscy, jest to uczucie, dla którego warto ponieść tyle ofiar i trudów.

Ze wspomnień taternickich Wiesława Stanisławskiego.

† WIESŁAW STANISŁAWSKI

Ur. dnia 15 listopada 1909 r. w Lublinie, na krótko przed śmiercią ukończył Instytut Studjów Handlowych i Orjentalistycznych (w lutym 1933 r.) oraz Kurs Eksportowy przy Radzie Organizacyjnej Polaków z Zagranicy (w czerwcu t. r.). Zapowiadał się jako pracownik wybitny, jego dyplomową rozprawą o Japonji zainteresował się konsulat japoński w Warszawie, zamierzając ją wydać jako broszurę propagandowo-informacyjną. Miał również talent literacki, który rozwijał licznemi wspomnieniami z wycieczek taternickich (opisy jego pióra ukazały się m. i. w „Taterniku", „Wierchach", „Przeglądzie Sportowym" i „Stadjonie") oraz próbami poezyj i utworów beletrystycznych. Zginął w dniu 4 sierpnia 1933 r. przy próbie pierwszego przejścia zachodniej ściany Kościółka w Tatrach.

Choć postęp i rozwój taternictwa idzie logiczną i konsekwentną drogą, to jednak co pewien czas pojawiają się jednostki, które ten postęp przyspieszają. Taką jednostką był właśnie Wiesław Stanisławski. Niebywały rozwój taternictwa polskiego ostatnich lat datuje się od roku 1928. W tymże roku rozpoczyna intensywniejszą działalność Stanisławski. Ogranicza się ona narazie do szeregu powtórzeń dróg najtrudniejszych wówczas, jak pd. ściany Zamarłej Turni, wsch. ściany Mięguszowieckiego Szczytu, pd. ściany Małego Lodowego Szczytu i w. i. Wreszcie pod koniec sezonu — I. przejście parokrotnie przed wojną przez wybitnych taterników atakowanej, zachodniej ściany Kościelca. Przejście to, to początek tego wspaniałego dla taternictwa polskiego okresu, trwającego przez ostatnie kilka lat.

Wielkość postaci Stanisławskiego w historji taternictwa polega nie tylko na olbrzymiej ilości rekordowych własnych dróg, czy też na jego gigantycznych wyprawach zimowych, lecz również na wpływie jaki wywarł na rozwój całego taternictwa polskiego. Choć Kościelec zach. ścianą, Żabi Koń pn. ścianą, czy Łomnica zach. ścianą i inne, w zasadzie nie okazały się trudniejsze technicznie od przedwojennych rekordowych dróg, choć obecnie i inni dokonywują zimowych wypraw tak wielkich jak grudniowe przejście Lodowej Przełęczy Wyżniej, to znaczenie tych dróg jest ogromne z innych względów.

Wiele już pisano o tem, że ostatnie kilka lat taternictwa cechuje najpierw stopniowe, a wkońcu zupełne prawie wyzwolenie się z ucisku psychicznego, z jakim dawniej podchodzono do ścian. W tej właśnie dziedzinie, działalność Stanisławskiego wywarła największy wpływ na taternictwo polskie. A bez tego sportowego, nowoczesnego podejścia do gór, nie byłyby możliwe ostatnie lata w Tatrach. Gdyby nie pn. ściana Żabiego Konia, która choć nie okazała się skrajnie trudna, jednak pozostała symbolem tych kilku ostatnich lat, nie byłoby tego nadzwyczajnego rozkwitu taternictwa.

Lata 1928 — 1932 to jakby cała epoka. Wszystkie najwspanialsze, najniedostępniejsze ściany padły. Padły wszystkie uchodzące za niemożliwe. Już na jesieni 1932 r. stwierdzono: następne lata, nie będą tak rekordowe. Wielkie problemy już się wyczerpały.

Lata 1928 — 1932 to okres najintensywniejszej działalności W. Stanisławskiego. I choć inni robili w tym czasie drogi równie rekordowe, a w zimie dokonywali równie wielkich przejść, to jednak należy stwierdzić: Stanisławski rozpoczął tę epokę.

Przyjechał w Tatry po raz pierwszy, dzieckiem prawie, jeszcze w roku 1925. Pierwszy rok, jak zwykle zresztą, poświęcony jest łazędze. Już jednak w roku 1926 zaczyna uprawiać taternictwo. Uprawia je zupełnie samodzielnie, w towarzystwie równie początkującego wówczas J. Wojsznisa. Sam sobie wyłącznie zdobywa stopniowo doświadczenie i osiąga coraz większą sprawność. Nie licząc dwóch

krótkich wspinaczek (1927) z M. Szczuką, przewyższającym go wówczas znacznie, chodził zawsze albo z równymi sobie albo słabszymi. Jednocześnie od samego początku. Jego taternictwa, pasja wspinacza objawiała się u Niego z wielkim rozmachem i śmiałością. Pasja ta wyprzedzała często Jego możliwości ówczesne, a także i doświadczenie. Nic więc dziwnego, że dysproporcja pomiędzy realnemi możliwościami technicznemi a rozmachem i śmiałością, musiała mieć wówczas czasem swe konsekwencje. I tak w 1928 roku, gdy jeszcze pd. ściana Zamarłej Turni była naprawdę tą najtrudniejszą drogą w Tatrach, porywa się na jej przejście. Jednak Jego umiejętności techniczne okazały się jeszcze niewystarczające. Następuje znany wypadek. Przejście się nie udaje. Niezrażony tem, przechodzi szereg dróg, o skalę łatwiejszych, aby w końcu znów zaatakować Zamarłą. I tym razem z powodzeniem. Tak samo swe taternictwo zimowe, sam sobie wyłącznie wypracował. I tu też ta rozpiętość między doświadczeniem a pasją była przyczyną katastrofy w Dol. Żabich Stawów Białczańskich (1930).

Wiedząc już, do czego może doprowadzić brak doświadczenia, zaczyna zwracać coraz większą uwagę na teoretyczną stronę taternictwa. Z nierozważnego młodzieńca przeistacza się stopniowo w wytrawnego taternika. Zaczyna chodzić coraz ostrożniej. Asekuruje się bardzo starannie. »Nie chcę niepotrzebnie narażać życia — mówił — wszak właśnie dla gór warto jaknajdłużej żyć«. Ostrożność jego była nadzwyczajna. Nie ryzykował nigdy. W trudniejszym terenie, o ile zaszła potrzeba wyciągnięcia całej długości liny, bił z reguły haki.

Siedzieliśmy kiedyś o świcie zimą w Dol. Czeskiej. Niespodziewanie spóźniliśmy się pod ścianę kilka godzin. Wracamy. »Wszak tych kilku godzin może nam zabraknąć w decydującym momencie«.

Rok 1929 — pn. ściana Żabiego Konia, wsch. żebro Rumanowego Szczytu, zach. ściana Łomnicy — to okres młodzieńczej pasji, wyładowującej się brawurą. Lata 1930, 1931, 1932 — 46 pierwszorzędnych dróg letnich, a Lodowa Przełęcz Wyżnia i Zadni Gierlach z Doliny Kaczej zimą — to lata męskiej dążności do świadomego celu, lata wypracowywania sobie samemu powodzenia.

Lecz pasja pozostała ta sama. Ta sama zaciekłość i wytrwałość, nie zważająca na żadne przeszkody w dążeniu do celu.

Boże Narodzenie 1930 r. Wyprawa na Lodową Wyżnią się załamuje. W nocy wracają uczestnicy wyprawy z gór. Pierwsze dwadzieścia metrów robiono godzinę, potem odwrót, a potem jeszcze lawina w żlebie, przysypująca śpiących w namiocie. Zdawałoby się, koniec wyprawy. A kiedy później pytaliśmy się o najpiękniejszy moment drogi, mówił: »Wyjście ze schroniska, następnej nocy, gdy nie mówiąc nic o celu, wyruszyliśmy obaj znowóż do Czarnej Jaworowej«.

Posiadając taką sprawność wspinaczą w Tatrach, że nikt Go w niej nie przewyższał, dla zaspokojenia swej namiętności zdobywczej przestał powtarzać cudze przejścia: »Jeśli ktoś drogę przeszedł, przejdę i ja«. Odtąd rozwiązywał wyłącznie problemy, gdyż nawet najłatwiejszy problem, mógł mu dostarczyć czegoś niespodziewanego. Jeszcze na krótko przed śmiercią powtarzał mi zdanie Birkenmajera: »Wolę zawsze problem niż jakiekolwiek powtórzenie. Jedynie tylko w rozwiązywaniu problemów znaleść można jakieś nasycenie się skałą«. »Jest ogromna różnica między nieznanem, a czemś co wiem, że napewno zrobię«.

W swej pasji zdobywczej szukał często ścian, wielokrotnie już przez innych atakowanych. I nie należy tego kłaść wyłącznie na karb rywalizacji i chęci uznania, choć zgodziliśmy się wszyscy, że czynniki te odgrywają pewną rolę w taternictwie. Tu chodziło jednak o coś więcej. Choć pisałem przedtem o wyzwalaniu się z ucisku psychicznego przy podejściu do gór, to jednak zupełne uwolnienie się od trudności psychicznych nigdy nie nastąpi. A zresztą gdyby nastąpiło, skończyłoby się taternictwo, skończyłby się i alpinizm. Jest rzeczą jasną, że ściana, która odparła ataki najtęższych taterników, nastręcza dużo większe trudności psy-

chiczne, niż ściana nieatakowana nigdy. Stanisławski szukał maksymalnych trudności, tak technicznych jak i psychicznych. Przejście ściany, która się innym oparła, dawało większe wewnętrzne poczucie wielkości czynu, większe zadowolenie, gdyż wymagało większego wysiłku psychicznego.

I tak padały ściany, które ostawały się przed atakami najlepszych. Zach. ściana Kościelca, pn. ściana Żabiego Konia, wsch. żebro Rumanowego Szczytu, pn. ściana Ramienia Lodowego, środek pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu, zach. ściana Zadniego Gierlachu w zimie, zach. ściana Łomnicy...

»Czy dążę w górę w akrobatycznej wędrówce po pionowem urwisku, czy leżę na upłazie w ścianach, patrząc tylko na turnie, zawsze mam to samo niezachwiane poczucie, że stykam się z największym sensem mego życia«. Zdanie to oddaje lepiej stosunek Stanisławskiego do gór, niż całe strony dociekań filozoficznych. Góry... One były naprawdę treścią Jego życia. Był jednym z najwszechstronniejszych taterników. Doskonały wspinacz, równie doskonały i doświadczony zimowy taternik, odkrywca najurwistszych szlaków, zdobywca szeregu najtrudniejszych powtórzeń, jeden z najlepszych znawców Tatr i taternictwa, autor opisów i artykułów taternickich.

Planami swemi wybiegał daleko poza Tatry. W większe góry. Zainteresowaniami swemi obejmował nietylko Alpy, lecz też i góry egzotyczne.

Nie dane Mu było jednak wyjść poza Tatry.

BOLESŁAW CHWAŚCIŃSKI

† WITOLD WOJNAR

W młodym (ur. dnia 9 stycznia 1910 r.) Witoldzie Wojnarze utraciło najmłodsze taternictwo nader obiecującą i pełną energji jednostkę, w której możliwościach leżały największe zdobycze taternickie. Mieszkając u stóp Beskidów Śląskich (w Ustroniu, Cieszynie, później w Katowicach — gdzie ojciec jego zajmował wysokie stanowisko w przemyśle) od wczesnej młodości chodził po górach, najpierw w Karpatach, później i w Tatrach. Zwiedził tu wówczas — z przewodnikiem — takie drogi jak pn. ścianą Mnicha, graniami Żabiego Konia i parę innych. Na Wielkanoc 1933 r. zapoznał się w Roztoce z Wiesławem Stanisławskim, i to zadecydowało o jego taternictwie. Wziął udział w większości wypraw Stanisławskiego w lecie b. r. Towarzyszył mu i w ścianie Kościółka.

Jego pasja do taternictwa wynikała z głębokich pokładów jego natury i stała się naczelnym motorem jego życia sportowego, które zresztą rozwijał bardzo wszechstronnie (uprawiał systematycznie boks, lekką atletykę, sport samochodowy, tennis i narciarstwo, i w każdym z tych sportów doszedł do godnych uwagi wyników). Sporty boiskowe dawały mu wiele sukcesów i doraźnego zadowolenia — ale ś. p. Witold Wojnar był jednym z tych, dla których największą rozkoszą życia sportowego jest męskie zmaganie się z niebezpieczeństwem i rzetelna walka z przeciwnościami przyrody. To też wszelkie boisko musiało ustąpić na plan drugi wobec jedynych na świecie — gór. Niestety, skoro walka z przyrodą jest równa, człowiek nie zawsze może być zwycięscą...

K. R.

PONAD NAJWIĘKSZĄ OTCHŁAŃ TATR

Dzień był naogół pogodny — choć ciężkie chmury przewalały się po nieboskłonach — ale powietrze było parne i ciepłe.

Od Łysej Polany zamieniliśmy się w juczne zwierzęta, spocone, zziajane, zgięte pod ciężarami plecaków. Stereotypowo mówiąc — jak zawsze w takim marszu — ścieżka na Przełęcz pod Kopą zdawała się wydłużać w nieskończoność. Za każdym zakrętem oczekuje się już trawiastego siodła, choć zgóry wiadomo, że nie za tym ani za następnym czeka wypoczynek. Podświadoma wiara w cuda oddaje ogromne usługi w niesieniu ciężkich plecaków.

Kiedy jest zimno na dworze, znacznie mniej dokucza mi taki marsz pod górę. Ale dziś było gorąco. Wlokłem się więc w tak bezprzykładny sposób, że moi towarzysze zdążyli nawet zmarznąć na Przełęczy pod Kopą, zanim ja wynurzyłem się wreszcie, czując, że ugotowałem się we własnem ubraniu.

Od Małego Kiezmarskiego Szczytu po Kołowy, różne skalne, zaczerwienione w zachodzącem słońcu czubki wierchów, wyglądały z za grani Koziej Turni i Jagnięcego Szczytu. Wprost przed nami leżały Białe Stawy.

Mało jest tak wielkich przyjemności na świecie, jak — nareszcie! — oprzeć trzydziestokilowy wór o sprężystą murawę i popatrzeć na nowy krajobraz, który do tej pory chował się uporczywie przez kilka godzin poza mizernem siodłem przełęczy.

Męczące pragnienie wejścia na trawiasty grzbiet grani, łączącej Jagnięcy Szczyt z Tatrami Bielskiemi, zaćmiewało zupełnie emocjonalny dreszcz przed wejściem w urwisko północnej ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu. Dopiero teraz powróciła całkowicie świadomość tego, co nas czeka jutro.

Pierwszy rzut oka posyłam niebu. Ochłodziło się znacznie. Na ciemniejącym firmamencie błyszczą już cowiększe gwiazdy. Nadzieja zatem na pogodę nie jest bezpodstawną. Chmury i ciepło zostawiliśmy na północnej stronie Tatr.

Drugi rzut oka posyłam ścianie. Wygląda stąd jak jedna czarna bryła, której kontury rozpraszają się w rosnących cieniach nocy. W każdym razie: jest wielka, przepaścista i groźna. Największa otchłań Tatr. Śmiała w swej wyniosłości i urwistości. Zakrojona już jakby nie na miarę Tatr, choć bezśnieżna. Kilka jeszcze tylko urwisk staram się przyrównać do niej: Mięguszowiecki Szczyt od Morskiego Oka, jednak brak mu tych dzikich, litych zerw Kiezmarskiego; Gierlach od Wielickiej Doliny, Lodowy Szczyt od Czarnej Jaworowej; wyniosłości niemal te same, lecz brak im tej zwartości budowy.

Mały Kiezmarski Szczyt od północy — to pancerz płyt i ciężkich granitowych zerw.

Wreszcie trzeba było spojrzeć w dół ku dolinom, w które schodziła ruda smuga ścieżki niknąca poniżej schroniska w ciemnej zieleni kosówek.

Choć schodzącemu na dół plecak wydaje się jeszcze cięższy, jednak trud nóg jest mniej przykry od trudu serca i płuc. W kilka chwil jesteśmy w Votrubowej Chacie i pijemy mleko i herbatę.

Już się zupełnie ciemno robiło, kiedy poszliśmy dalej, do Zielonego Stawu Kiezmarskiego. Ten kawałek ścieżki, szczególnie jeśli się nim idzie w tę stronę, jest bardzo miły i ciekawy. Przeważnie schodzi się lekko wdół, a cały czas rozszerza się przed oczami widok na wyniosłe ramy Doliny Dzikiej.

Schronisko przy Zielonym Stawie jest tak drogie, że nie nadaje się do użytku, i z tego powodu możnaby go rozebrać i wyrzucić. Powędrowaliśmy wprost pod urwiska Małego Kiezmarskiego, gdzie wśród wielkich złomów jest dobra koleba. Niestety, jest ona za dobra: podobna już raczej do piwnicy z zatęchłem powietrzem.

Na dodatek, wypełniona była wodą, w której gniły podściółki dawnych jej lokatorów. Poszliśmy zatem spać w kosówkę pod gołem, gwiaździstem niebem.

Jakoż nasze wieczorne przewidywania sprawdziły się: krzak na którym ułożyliśmy się spać, okazał się dla trzech ludzi za wąski. W nocy Witek spadł w jedną stronę na piarg, ja w drugą, a Bolek został sam na odciążonych sprężynach żywego materaca. Tak już zresztą pozostaliśmy do rana, bo nikomu nie chciało się człapać po nocy za nowem legowiskiem.

Granitowe głazy, na których ułożyłem się misternie w zygzag, aby dostosować swój kształt do ich krawędzi i dziobów, nastroiły mnie tak, że wolałem raczej przyglądać się Tatrom w nocy niż spać.

Ale było bardzo pięknie. Księżyc tułał się gdzieś po Widłach i Łomnicy. Czasem szedł granią śmiało i pewnie, skacząc nieostrożnie z uskoku na uskok ponad Przełęczami w Widłach, czasem znów nastraszył się jakiejś skalnej krawędzi i bojaźliwie trawersował poza ścianą wierzchołków. Jego srebrne światło czasem całkiem rozświecało kotlinę skalnego uroczyska, czasem znów jak promień reflektora błyskało przez szczerbę grani i dopadało nagle jakiegoś mrocznego komina, to w ścianach Durnego, to znów w zerwach Czarnego Szczytu.

Z ruchem światła w cyrku Dzikiej Doliny zaczął się ruch cieni. A kiedy poruszy się cień, oko ludzkie bada jego ruchy, jakby szukało celowości w grze mroków i blasków. Do każdego kształtu dostraja się nazwa fantazji i oto wreszcie pustkowie zaludnia się dziwolągami. Jest to piękne. Poetyczne w swej urojonej grozie.

Leżąc na kupie kamieni patrzę ku górze między potężne ściany, ku wiszącemu cyrkowi doliny. W nerwach czuję lekkie drżenie, ponieważ moje księżycowe wizje nie znikają lecz żyją. Kiedy piargi pod ścianami Dzikiej Doliny zamieniły się w tłum ludzkich głów, górski cyrk rozpoczął nocne przedstawienie. Ku grani Czarnego Szczytu pną się dwie białe postacie: widma taterników. Dla tego tłumu z amfiteatru doliny to są cyrkowcy w białych trykotach. W szumie potoków dosłyszeć można słowa uznania. Przewieszki puszczają wprost. Cyrkowcy wiodą swą drogę bez obchodzeń, wprost ku wierzchołkowi.

Leżąc na głazach u stóp olbrzymiej ściany, rozpadam się w bezgraniczność nastroju nocy:

tam górski kocioł w cyrkowych zamknięty barjerach.
Niżej: próg zerw.
Spienione wody skaczą po nerwach skał. Bez przerw.
Lawina mroku spływa ku arenie,
niosąc cień żlebów
i drżenie
z tatrzańskich snów.
Amfiteatry koliste tętnią głazami oklasków,
pędzących z pod nóg
zawisłych w ścianach cyrkowców,
biorących w żlebie wprost próg!
Wokół: wiszących śniegów podniebne łoża,
ze skał;
a na nich turni spięta obroża,
dusi ich szał.
Wzbierając w siebie ten cyrku lęk,
wychyną ku niebiosom
głowy cyrkowców — chyba, że brzęk ich kości w granit
echa rozniosą...
W zamarłym kotle, pod spadem ścian

na antrakt wyjdą clowni,
na śladach krwi rozpoczną tan
i cyrk — tę śmierć zapomni.

Przedstawienie kończy się. Głowę mam coraz cięższą, wspartą tyłem o twardy brzeg kamienia.

Jeszcze każdy stuk głazu, lecącego ze ścian nad nami, podnosi moje powieki ku niebu.

Ale nagle znajduję się w tym jakimś ciemnym żlebie i rozglądam się po jego czarnych ramionach jakby bocznych korytarzach, skąd mnie dochodzi nowy stuk...

Uchylam jeszcze powiek na mgnienie. Wokół już tylko głęboka cisza poźnej nocy. Myślę: czy granit ma nerwy? czy czuje ból, kiedy uderza weń wielki blok?...

Wśród lekkiego kołysania się czarnych fal wpływam w gardziel jakiegoś żlebu. Niebieska czy Niemiecka Drabina nazywa się on. Nie mogę już sobie przypomnieć. Spostrzegam tylko na jego ścianie biały ślad rany zadanej głazem. Idę tam i wyjmuję bandaż i watę...

...Chłód świtu jest najlepszym budzikiem, kiedy śpi się pod gołem niebem. Ledwie pierwszy brzask zatarł nieco kryształowy blask gwiazd, powyłaziliśmy z naszych worków do spania. Witek poszedł z bukłakiem po wodę do stawu. Bolek nastawia maszynkę. Ja szykuję chleb i rozglądam się po ścianie Małego Kiezmarskiego. Komin wąski i prosty jak strzał w niebo, wcina się w najgładszą część dolnego urwiska.

W Dolinie Dzikiej panuje półmrok i głęboka cisza. Mam takie wrażenie jakbym patrzał na opustoszały teatr. Przywykłem, że ile razy jestem w nim, zawsze jest tam ruch i pełno ludzi: publiczności, woźnych i aktorów. Nagle, po raz pierwszy, jestem nie w teatrze lecz w sali teatralnej. Czuję tam wtedy większą pustkę niż w każdem innem pustkowiu.

Dzieje ostatniej nocy zamknęły się teraz we mnie jako fragment o konkretnych kształtach przeżycia. Zamknęły się w skarbcu zachwycenia życiem, wobec tego, że stoję już u początku nowego przeżycia, które ma być nowym skarbem. W tej ciągłej tezauryzacji przeżyć widzę istotne piękno życia.

Wracam do ściany. Zawsze na pierwszy plan wybija się ten wąski komin. Po śniadaniu zdążamy w górę po piargu, ku niemu.

Teraz nerwy człowieka łączą się niewidzialnemi sprzęgłami z nerwami ściany. Cielsko góry szykuje się w naszych oczach do podźwignięcia w chmury naszych ciał.

Hak wkładany w Zakopanem do plecaka ma inny dźwięk, niż hak przypinany do pasa pod niezdobytą drogą.

Losujemy prowadzenie wspinaczki, i ja pierwszy mam zaszczyt przez trzy godziny deptać nietknięty granit komina. Potem zastąpi mnie Bolek.

Wchodzę w uroczystej ciszy zaczynającego się misterjum taternickiego. Tylko właśnie haki tak dziwnie inaczej pobrzękują sobie.

Najpierw komin zapada się w piarżysty kocioł. Potem z szerokiego ujścia wyrasta jak drzewo: w korzeniach przysadziste i mocne; wyżej coraz szczuplejsze, pod koroną rozkwitłe w dwie smukłe gałęzie.

Kiedy patrzę na zczerniałe od wody jego dno, kładzie się ono przedemną ulegle. Kiedy wejdę w nie, złośliwe skały wynoszą mnie w powietrze, aż zmuszony jestem spojrzeć pod siebie i zobaczyć w otchłani uśmiechniętą sielankę trawy, kwiatów i smreków. Tam słońce podnosi już nocną rosę z liści. Na mnie od ściany dmucha mróz i wilgoć, a palce grabieją w chłodnych jak lód szczelinach. Walczę więc nietylko z małością i kruchością chwytów; z ciężarem mojego ciała; z odrętwieniem rąk; ze szczękaniem zębów, gdy lodowata struga leje mi się za kołnierz, a ja znieruchomiały wiszę na przewieszce, marząc o stopniu na lewą nogę. Muszę jeszcze walczyć z ponurą obojętnością urwiska.

12. VII. 1932. fot. W. Ostrowski.

W. STANISŁAWSKI I B. CHWAŚCIŃSKI W PN. ŚCIANIE MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU.





13. VII. 1932. fot. W. Ostrowski.

O ŚWICIE W PN. ŚCIANIE MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU.

Doszedłem do wielkiego bloku tuż nad kotłem komina. Dylemat: rysa z lewej jego strony, rysa z prawej. Wszedłem w lewą, zatkało mnie, nie tyle z powodu trudności ile kruchości. Cała kunsztownie w powietrzu umocowana masa bloków czekała na oberwanie się. Poszedłem w prawo i wyszedłem na mały stopień nad rysą. Myślałem, że na tę długość liny będzie dość trudności. Tymczasem taka mała płytka, która mnie dzieliła od nieco wyżej położonej platformy, była gorsza od całej rysy. Platforma była wygodna, więc doszli do mnie towarzysze. Potem był dość szeroki próg, który dla odmiany nie chciał mnie puścić w prawo ale puścił w lewo. I znów platforma.

Zawsze, na początku każdego urwiska, operacje z liną i hakami wydają mi się zajęciem niecodziennem. Mam jakby zwiększoną wrażliwość czucia w palcach, kiedy dotykam tych przedmiotów. Ale kiedy zaczynam liczyć punkty asekuracyjne, to już kiedy zanotuję: »drugi«, lina jest częścią składową mego ciała.

W ten sposób usuwają się z mojej świadomości rzeczy niepotrzebne, wynikające z dotykania liny i słuchania brzęku haków, zabierające część świadomości, a technicznie zbędne. Stopniowo również słabnie przymilność zielonej doliny pod nogami. Kształty drzew zanikają, a trawa kolorem już raczej czerń przypomina. Cała uwaga skupia się na urwisku i przez długi czas interesuje mnie ogólny widok ściany wokół mojej drogi, oraz szczegóły skały tuż przed oczyma. Wreszcie pod wieczór przychodzi nagłe zainteresowanie się, czy czasem ze ściany nie widać schroniska? i jak daleko jest do wierzchołka?

Ponad drugą platformą komin wyraźnie stanął dęba. Zanosiło się na jakąś gwałtowniejszą zmianę w jego konfiguracji. Ale tego od nas nie widać było. Na pierwszym planie ziała powietrznością mokra przewieszka.

Doszedłem do niej przemoczony i z przykrem przekonaniem, że mnie pewnie zatka. Tymczasem było tylko bardzo trudno — jak to mówią taternicy. Bolek i Witek twierdzili, że była jednak nadzwyczaj trudna. Za nią — kilka stopni posypanych piargiem, i rysa zamiast dotychczasowego komina. Szło się nią pięknie w powietrzu i po mocnych a obfitych chwytach. Potem była skromna przerwa, jakby moment wahania, czy iść dalej, czy się tu skończyć, a po namyśle rysa z całem otoczeniem płyt, wdzięcznie się przewiesiła.

Klinując lewe kolano i lewy łokieć, powolutku wypychałem się w górę. Prawa noga i ręka wypoczywały sobie tymczasem, bo nie było ich o co zaczepić. W trakcie tego mozołu dobiegły nas wołania naszych znajomych, którzy szli starą drogą przez dolne urwiska. Im się dobrze wiodło: najpierw półeczka, którą sobie wbiegli, potem prysznic dla ochłody, a wreszcie trawka i kwiatki aż do Niemieckiej Drabiny.

Pokiwałem smętnie głową i zebrawszy wszystkie siły posunąłem się na lewym łokciu 2 centymetry wgórę. W ten sposób rysa mi się skończyła, a nic nowego nie zaczęło się. Poprostu więc położyłem się na owej płycie i po paru skomplikowanych ruchach dosięgnąłem chwytu, który byłby mi na tym kawałku oddał nieocenione usługi, cóż kiedy natychmiast urwał się. Poleżał mi chwilę na ramieniu i podczas gdy ja w przerażeniu myślałem co dalej będzie, on zdecydował się i poleciał niżej, niecąc chwilowy popłoch wśród moich towarzyszy stojących na dole.

Wyplątawszy się z ciężkiej sytuacji, wylądowałem, z westchnieniem ulgi, na małej ale bardzo wygodnej płasience.

Ja twierdziłem, że ta przewieszka była nadzwyczaj trudna, a moi towarzysze, że tylko bardzo trudna. Tak więc już drugi raz byliśmy odmiennego zdania.

Od chwili wejścia w ścianę minęło już prawie cztery godziny i moja kadencja jako przodownika wygasła. Poszedł teraz Bolek naprzód. Pierwszy etap jego drogi odznaczał się zwiększającą się kruchością i wilgotnością skały, a nadto rysa poczynała znów rozszerzać się w komin. Nad tym fragmentem drogi, który

był łatwy, ponieważ był tylko trudny, jak to taternicy mawiają w swym języku, komin rozwarł się szeroko a z dna jego wyjrzały oślizgłe przewieszki.

Bolek wbił hak po kółko, poprawił dzwoniące haki i ruszył do góry. Już po kilkunastu metrach zaczął potężnie pracować. Wbił nowy hak i na śliskich jak lód chwytach wydostał się nad pierwszy brzuch przewieszek. Stał tam na jednej nodze bardzo długo i dłubał palcem to w lewej to w prawej ściance komina, co miało oznaczać, że robi chwyty i stopnie. W naturalnej formie to tam były tylko mokre, gładkie, kruche i przewieszone skały. Wreszcie skombinował jakiś misterny układ dziurek i zadziorek, po tem wszystkiem wlazł ze dwa metry wśród stękań, sapań i pojękiwań — i znów utknął.

— Ciekawym co wy na to powiecie! — zawołał z góry.

Nam zresztą już wystarczyło widzieć jego pracę. Spodziewaliśmy się, że to będzie najtrudniejsze miejsce drogi.

Tymczasem okazało się, że Bolkowi zabrakło liny. Musiałem się więc odwiązać i złączywszy końce obu lin, tym sposobem nadsztukować je. Zostałem zatem bez asekuracji. Bolek puszczony przez nas z uwięzi, zaczął znów wspinaczkę. Był taki moment, że i jemu i nam zdawało się, że dalej już nie pójdziemy. Potworne zerwy przewieszek, z mokrych, polerowanych płyt, zamknęły drogę do góry. Jednak Bolek nie dał za wygraną. Z trudem wbił hak w jakieś pęknięcie i akrobatycznym trawersem na samych rękach w prawo, stanął znów na jednej nodze. Przez tę krótką chwilę nam serca uwięzły w gardle, a on machał nogami w powietrzu nad kilkuset metrami straszliwej otchłani. A mało jest tak olbrzymich i zupełnych ekspozycji w Tatrach, jak ta nad największą otchłanią Tatr. Może niema drugiej takiej powietrznej wędrówki.

Zrobiwszy trawers, Bolek stał pod gładką płytą, nad którą jeszcze wisiał okap ostatniej w tym kawałku drogi przewieszki. Prawą nogę ustawił na tej płycie, poczem, odepchnąwszy się od niej, ruchem człowieka, który ma zamiar skoczyć tyłem w przepaść, dosięgnął lewą nogą samego końca przewieszki i z tej pozycji zaczął nad nią szukać chwytów. Najlepsza baletnica nie powstydziłaby się takiego klasycznego »szpagatu«, jaki myśmy trzej wykonywali pokolei na tej straszliwej przewieszce.

Znalazłszy coś dla zaczepienia palców, Bolek wyciągnął się z zimnej czeluści komina i wszedł na znacznie już łatwiejsze skały na prawo od rynienki, która przydłużała ów komin. Niebawem zniknął nam z oczu.

Tymczasem węzeł złączonych lin dojechał do haka i utknął w karabinku. Bolek woła z góry, że musi mieć jeszcze z pięć metrów liny, aby dojść do miejsca, gdzie może wbić hak i asekurować nas.

Tu rozpoczęła się moja skomplikowana funkcja, jako że byłem środkowym w zespole naszym, a teraz stałem sobie luzem bez liny. Trudności drogi przedemną wykluczały wszelkie możliwości wspinania się bez liny. Skrajnie trudna akrobatyka po mokrej, kruchej i przewieszonej skale nie nadaje się dla samotnika. Wwiązałem się więc w linę, która przedtem łączyła mnie z Witkiem w całej swej długości. Potem, asekurowany tylko z dołu, bo Bolek niemógł ściągać liny, doszedłem do owego haka, w którym utknęła ona. Cały czas miałem to na uwadze, że jeślibym się obsunął, to zrzucę Bolka, który tam u góry stoi o 10 pięter nademną, i pewnie nie bardzo ma się czego trzymać. I właśnie w trakcie tych rozmyślań, lekko tylko poruszona lina urwała kamień, który celnie wyrżnął mnie tak w głowę, że mi się ciemno zrobiło w oczach i poleciałem twarzą przed siebie. Jednak, po pierwsze: oparłem się twarzą o przeciwległą ściankę i nie spadłem; po drugie: już w następnej sekundzie wróciła mi świadomość. Kamieniem dostałem na płask w sam czubek głowy, tak, że prócz bólu nie doznałem żadnych obrażeń.

Sprawdziwszy, że wszystko jest w porządku, wypuściłem węzeł liny z karabinka i czekałem, a przez ten czas Bolek poszedł dalej, wbił hak, do którego

wreszcie z trudem dociągnął linę, bo znów zdążyła utknąć na węźle w następnym haku w kominie. Teraz już przynajmniej nie bałem się, że jeśli spadnę to Bolka zrzucę, ale moja sytuacja nie na wiele się poprawiła. Musiałem znów iść z asekuracją zdołu, z małem zaufaniem do pętli, w której siedziałem. W ten sposób przeszedłem pierwszą przewieszkę i dosięgnąłem stopieńka na pół stopy pod drugim hakiem. Tu musiałem dokonać całkowitego powrotu do stanu *status quo*. Rozwiązałem złączone liny i przywiązałem się do obu końców ich pokolei. Potem wydostałem się z prowizorycznej pętli drugiej liny. Teraz mogłem już śmiało zażywać rozkoszy wspinaczki. Zrobiłem trawers na rękach i »szpagat« na przewieszce. Kiedy znalazłem się u początku rynienki nad kominem, zabrakło znów liny między mną a Witkiem. Ale tu już łatwiej poradziliśmy sobie. Poprostu z tego miejsca, gdzie się lina skończyła, asekurowałem Witka, a mnie z kolei trzymał Bolek na linie, bo ja nie bardzo miałem gdzie stać. Wreszcie, uporawszy się z wyjmowaniem haków, Witek doszedł do mnie, poczem ja do Bolka i już Witek do nas obu.

Przejście takich 45 metrów komina to cała epopeja. A dla taternictwa to *masterpiece*.

Znaleźliśmy się na wielkiej platformie, pokrytej ruchomym piargiem, który zdradzał tendencję do zwalania się na dół. Wobec tego na odpoczynek siedliśmy na skałach na prawo od niego. Nie mogło to trwać długo. Nad nami wisiała przewieszka jeszcze większa niż te wszystkie, które przeszliśmy do tej pory.

Po ostatnim etapie Bolek był triumfatorem. Dlatego poszedł znów na pierwszego w bój z tą królową przewieszek.

Przez płytę w prawej ścianie komina przesunął się w lewo kilka metrów do gładkiej rysy, którą tworzy owa płyta, załamawszy się poprzecznie ze skałami olbrzymiej nad nią przewieszki. Tą rysą usiłował potem dotrzeć do początku maleńkiego kominka, ciągnącego się od górnego załamania się przewieszki z płytami, i wyprowadzającego w końcu ponad całą pierwszą kondygnację przewieszonych spaszt. Ale cała rzecz była właśnie w tem, żeby się dostać do początku owego kominka, kiedy w rysie pod nim, na całej jej kilkunastometrowej długości, był tylko jeden i to kiepski stopienek.

Różnemi sposobami usiłował Bolek wygrzebać się z ciężkiego położenia, ale napróżno. Zmęczony był nadto poprzednim kawałkiem naszej drogi bardziej niż Witek i ja. Po pewnym więc czasie wrócił do nas i ja znów miałem zaszczyt borykać się z urwiskiem.

Początkowo usiłowałem rozwiązać kwestję w podobny sposób jak Bolek, a mianowicie pchałem się ową gładką rysą wprost w górę. To jednak okazało się bezskuteczne. Doszedłem więc do wniosku, że tu bez technicznej pomocy nie dam sobie rady. Zaczem wziąłem się do wbijania haków to tu, to tam, lecz bezskutecznie. Jedyne szczelinki, zawsze płytkie i kruche, znajdowały się za nisko, i haki nie oddawały żadnej usługi. Postanowiłem więc zejść do towarzyszy i urządzić walną naradę, co ropić dalej. Oczywistem było, że północna ściana Małego Kiezmarskiego Szczytu zatkała nas sromotnie. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z myślą o odwrocie. Schodzić przez to straszliwe urwisko, ze 400 metrów w dół, było rozpaczliwym koszmarem. Haków do zjazdów, byłoby nam nie wystarczyło, a robić te wszystkie przewieszki w zejściu bez zjazdu było niemożliwością. Pozatem, do tego rodzaju odwrotu mieliśmy za mało lin. Już pierwszy zjazd wymagał najmniej 80 metrów, a myśmy mieli tylko 60, przyczem nic już nie zostawało do asekuracji.

Usiłowanie wspinania się wgórę w innem miejscu, było skazane odrazu na niepowodzenie.

Kiedy w tej sytuacji bez wyjścia, zamknięci jak w pułapce, przygotowywaliśmy mój odwrót z przewieszki, odwróciłem się tyłem do skały i poczułem, że mi jakoś wygodniej jest stać. Nie znaczy to, żebym cośkolwiek nowego odkrył.

Chwytów nie było w dalszym ciągu, ale poprostu człowiek łatwo się zgina wprzód a trudno wtył. Z tego też powodu, stanąwszy pod przewieszką tyłem, lepiej się do niej dopasowałem i mogłem dłużej stać bez zmęczenia. Na chwilę więc przerwałem odwrót i zacząłem dalej badać skały z innego punktu obserwacyjnego. Nowego nic nie odkryłem, natomiast, kiedy mi nogi ścierpły od stania w jednej pozycji, podsunąłem się trochę wgórę, a ponieważ zrobiłem to jakiemś skomplikowanem zapieraniem, nie mogłem w tej sytuacji zatrzymać się i znów podsunąłem się do góry o kilka centymetrów. Rzut oka w lewo (stałem tyłem do ściany) zorjentował mnie, że tu leży rozwiązanie problemu. Podsunąłem się jeszcze odrobinkę w górę, tem samem zapieraniem, poczem, gdy już dach przewieszki leżał mi na karku, wyciągnąłem lewą rękę i wykręciwszy ją w rodzaj korkociągu, dosięgnąłem tępej krawędzi, która oddzielała mnie od kominka poza nią, wyprowadzającego ponad pierwszą kondygnację przewieszek.

W pierwszej chwili ogarnęło mnie znów zwątpienie. Owa krawędź była gładka i pionowa. Ani jednego oparcia nawet na jeden palec, a tymczasem musiałby tam być duży chwyt, abym mógł wciągnąć na nim cały ciężar ciała, wiszącego w powietrzu.

W następnej jednak chwili, kiedy błądziłem palcami po gładkiem ostrzu tej krawędzi, chrupnął jakiś kawałek granitu i wypadł na dół. Po nim został chwyt. Nie świetny, ale musiałbym być warjatem, żeby jeszcze lepszego szukać.

Chwila namysłu. Wszystko spręża się, nerwy, mięśnie i mózg, poczem puszczam nogi z zaparcia i lecę w lewo całym ciężarem, zawieszony na lewej ręce jak na wahadle. Całe ciało zresztą przeleciało parę metrów w powietrzu, ruchem wahadłowym, poczem rymnąwszy w skały owej krawędzi, zatrzymałem się i kolanami uchwyciłem za jej ostrze. Prawą ręką dosięgłem wtedy dna kominka poza nią, i w chwilę potem stałem na jego dnie.

Nie wątpiłem już, że najtrudniejsze miejsce ściany zostało pokonane. Do Niemieckiej Drabiny nie musi już być daleko.

Kominek był pionowy i wypełniony ruchomemi głazami, których musiałem używać jako chwytów, ponieważ skały z obu stron były gładkie. Nawet moje usiłowania wbicia haka spełzły na niczem. W rezultacie wyszedłem z pięć metrów do góry nie tyle trudno, co ryzykownie, i przez niepewne kępki trawy wytrawersowałem w lewo na płytową półkę. Wbiłem tu dwa haki, ponieważ stanowisko było bardzo niepewne. Tu doszedł do mnie Bolek, poczem znów ja ruszyłem w dalszą drogę.

Półką wydostałem się w lewo do małego kominka, który zaczynał się kilkanaście metrów poniżej i tyleż powyżej kończył. Kiedy do niego wszedłem, straciłem ochotę na wspinanie się nim do góry. Mały był, ale złośliwy. Wobec tego wytrawersowałem mozolnie dalej na krótką i wąską jego grzędkę z lewej strony. Tu znów napotkałem trudności ogromne z powodu darni, która całą grzędkę okrywała mocno przylegającym płaszczem. Każdy chwyt należało odkopać, a były one wszystkie ruchome. Po kilku metrach wlazłem za niewielki blok, sterczący ze ściany, ale to miejsce nie nadawało się do asekuracji. Tymczasem z grzędki nie było już ani śladu. Chcąc nie chcąc, musiałem wspinać się owym złośliwym, małym kominkiem, z którego niedawno uciekłem. Po kilku bardzo uciążliwych metrach wspinaczki, skończył się i kominek przy małym stopieńku.

Robiło się już ciemno. Nad głową miałem jeszcze ze sto, a może i więcej metrów litej, przewieszonej, płytowej ściany. Znów jedyną możliwością wydawał się trawers w prawo, ku opuszczonemu przedtem głównemu kominowi. W zapadającym mroku widać było przewieszone, ruchome bloki, wiszące w przewieszonej, zupełnie eksponowanej ścianie. To miał być ów trawers.

Bolek tymczasem czekał aż Witek dojdzie do niego, potem ja czekałem aż Bolek dojdzie do mnie.

Ostatni kawałek drogi, który prowadziłem, zmęczył mnie potężnie. Sił miałem jeszcze dosyć, ale coraz częściej dostawałem skurczu w dłoniach i nogach.

Bolek, dostawszy się na moje stanowisko, z którego ja musiałem wprzód usunąć się, bo inaczej nie zmieścilibyśmy się na nim, przejął asekurację, i rozpocząłem trawers. Tymczasem skurcze zaczęły mi się coraz częściej powtarzać.

Zbyt było ryzykowne robić nadzwyczaj trudną wspinaczkę, o zmroku, w takich warunkach. Bolek, zawsze chętny a teraz i mniej odemnie zmęczony, zaproponował mi znów zmianę w prowadzeniu. Było to bardzo uciążliwe i długie ze względu na brak miejsca, ale wreszcie przewiązaliśmy liny i zamienili stanowiska.

Poszedł. Wspaniały był widok człowieka zawieszonego w powietrzu, nad bezdenną otchłanią, którą coraz gęściej zaczynały zaścielać mroki szybko nadchodzącej nocy. Po kilkunastu metrach wszedł do komina i zniknął mi z oczu.

Potem zaczął się wspinać Witek do mnie. Gąsienica tatemicka powoli pełzała urwiskiem do góry. Potem znów ja poszedłem do Bolka.

Wiszące bloki dziwnie złowrogo skrzypiały, podczas gdy ja powierzałem im swoje życie. Wreszcie zszedłem do komina. Jakiemś cudacznem zapieraniem plecami o gładką ścianę, a nogami o gładkie dno komina, windowałem się do góry. To jest jeden z tych momentów, których się nigdy nie zapomina.

Wspinałem się ruchem glizdy włażącej po pionowej ścianie, śladem liny, która białą smugą znaczyła mi drogę w coraz gęstszych ciemnościach, a pod sobą miałem największą, najpowietrzniejszą otchłań Tatr.

Trwało to zresztą dość krótko. Napotkałem pod ręką jeden mocny chwyt, potem drugi, i w chwilę potem siedziałem obok Bolka na wielkiej platformie. Było już tak ciemno, że należało się obawiać, czy Witek dojrzy jakieś chwyty na skale, a ponieważ miał przed sobą jeszcze ów trawers po blokach, ryzyko odpadnięcia było poważne. Odwiązałem się więc od liny i rzuciłem mu drugi jej koniec, poczem usadowiłem się na drugim brzegu platformy, aby tem samem stanowić przeciwwagę w razie upadku wahadłowego. Szczęśliwie jednak, pierwszy dzień naszej wyprawy zakończył się pomyślnie. Niebawem z otchłani wynurzyła się uśmiechnięta twarz Witka i wszyscy trzej rozłożyliśmy się na głazach zaścielających platformę.

Tymczasem nad Tatrami zapadła gwiaździsta noc. Znów mogłem powrócić do moich nocnych fantazji. Pod głową miałem takie same głazy, jak te, które leżały pół kilometra poniżej i były mem wczorajszem legowiskiem. Zato jednak te pięćset metrów wzniesienia miało znaczenie dla mego sposobu czucia. Stwierdzałem oczywiście, że najśmielsze zerwy Tatr — uległy nam. Leżały teraz tuż pod nami. Dotykałem rękami na jawie ich górnej krawędzi. Nie mogłem więc napawać się grozą gór, która powstanie dopiero znów, gdy wrócę do doliny. Teraz czułem zmęczenie człowieka nasyconego i miałem ochotę spać bez snów.

Potężna szkarpa naszej ściany zasłaniała cyrk Doliny Dzikiej.

Odpocząwszy nieco, zjedliśmy po trochu z naszych skromnych zapasów, poczem zaczęliśmy szykować celtę Zdarsky'ego, która miała nam służyć za schronienie przed zimnem tatrzańskiej nocy.

Miejsce biwaku było bardzo efektowne. Obszerna platforma z trzech stron otoczona była pionowemi, gładkiemi płytami, które ku północy otwierały się równo zciosanemi filarami granitowych wrót. Ta otwarta na dolinę strona, obrywała się bez żadnego przejścia, ostrą krawędzią, za którą widać było odrazu piarg Doliny Kiezmarskiej. Komicznie ostrożnie i niepewnie przysuwał się każdy z nas do tej krawędzi, podziwiając bezprzykładność otchłani, z której wyszliśmy. Wysuwam głowę jak najdalej, aby dojrzeć choć skrawek ściany, po której szliśmy. Nic; pustka; tylko bieleje leżący u wejścia do komina skrawek śniegu.

Taka droga, to jest radość dla serca taternika, a on sam patrzy na swe podrapane, przeziębnięte ręce, czy mu skrzydła nie wyrosły w czasie tej wędrówki wgórę.

Przywiązawszy się na linach, które przypięliśmy do haków, siadamy do snu pod celtą. W jej cieple noc mija niepostrzeżenie. Nawet nie czuliśmy tych ostrych głazów, na których spoczywały nasze zmęczone ciała.

Świt jednak budzi nas. Rozmawiamy czas jakiś siedząc jeszcze w celcie, bo zimno na dworze dotkliwe. Pierwsze promienie słońca wtargnęły przez granitowe wrota do naszego biwaku. Wtedy wychodzimy, aby za chwilę zacząć dalszą drogę.

Śniadanie jest bardzo krótkie. Witek je i robi zdjęcia, Bolek i ja szykujemy liny i haki.

Ruszam jako pierwszy.

W lewym kącie platformy ciągnie się wąska rysa. Nią wspiąłem się kilka metrów i chciałem potem trawersować w prawo do rysy w prawym kącie, ale zatkało mnie już po paru metrach. Po kilku bezowocnych próbach wróciłem na platformę. Lewa rysa możeby puściła, gdyby się nią wspinać wprost wgórę, ale byłoby to dwa razy więcej wspinaczki niż wyjście rysą prawą. Wobec tego podsunąłem się ową prawą rysą najwyżej jak mogłem, a Bolek wszedł mi na wyciągnięte w górę ręce i wtedy dosięgnął jakiegoś chwytu. Z jego pomocą pokonał końcową ściankę i wyszedł na łatwy teren. Witek i ja weszliśmy po linie.

Trudności dolnej części urwiska były już poza nami. Wgórę ciągnął się szeroki, skalny żleb, przerwany kilkoma niewysokiemi progami i zaklinowanemi głazami.

Szedłem naprzód i rozmyślałem. Tematem była górna partja ściany, która również nie doczekała się jeszcze rozwiązania środkiem urwiska. Ta ściana mierzyła jeszcze około 350 metrów i stanowiła nierozerwalną całość z przebytem przez nas urwiskiem dolnem. Co do jej trudności, można było wszystkiego oczekiwać. Nawet, że jest wogóle nie do zrobienia. Ci nasi znajomi, którzy poprzedniego dnia szli zwykłą drogą na Mały Kiezmarski, mówili potem, że przejście górnej partji środkiem jest niemożliwe. Radzili próbować wydostania się w prawo od drogi Gyuli Komarnickiego, choć i ten sposób, acz jedyny, wydawał im się niezbyt prawdopodobny.

Kiedy stanęliśmy wreszcie na Niemieckiej Drabinie, sami nabraliśmy podobnych obaw, co do możliwości marszu dalej wprost w górę, jak te, które później usłyszeliśmy od najlepszych taterników.

Miałem ogromną ochotę iść jeszcze tego dnia na wierzchołek Małego Kiezmarskiego Szczytu, choćby już zwyczajną drogą, ale towarzysze przekonali mnie, pokazując plecak, w którym już nic absolutnie nie pozostało do jedzenia.

Przez Niemiecką Drabinę zeszliśmy w dół do Doliny Kiezmarskiej, do naszej, wczoraj opuszczonej koleby.

To była pierwsza część mojej epopei kiezmarskiej. Bolek i Witek powędrowali w Alpy na jeszcze większe otchłanie ścian i grani, a ja po kilkutygodniowym pobycie w Warszawie, zjawiłem się znów pod północnemi urwiskami Małego Kiezmarskiego Szczytu, ale tym razem z Pawłem, który przybył na urlop w Tatry.

Szykowaliśmy się do szturmu na środek urwiska górnej części ściany.

WIESŁAW STANISŁAWSKI

Nie to, że zdobyliśmy nowy rekord sportowy. Nie dla rekordu chodzimy! Tyle wysiłków i cierpień poświęciliśmy dla tej jednej chwili, kiedy upojeni zwycięstwem stanęliśmy na szczycie, który tak jeszcze niedawno, był tylko naszem marzeniem.

Ze wspomnień taternickich Wiesława Stanisławskiego.

PAMIĘCI ZDOBYWCY PÓŁNOCNEJ ŚCIANY MAŁEGO KIEZMARSKIEGO

Wspomnienie z wyprawy odbytej z Wiesławem Stanisławskim dnia 4 sierpnia 1932 r. — tego samego dnia, rok później, zdarzyła się tragedja Kościółka.

— Właśnie przyjechałem z Warszawy — zaczął Wiesław, przyszedłszy rano wprost po całonocnej jeździe do Dworca P. T. T. — chcę iść zaraz w góry; jak więc, idziesz ze mną?

— Dziś jeszcze? — zdziwiłem się — nie odpoczniesz? A, na jak długo?

— O, jakieś 10 dni, w południe autobusem na Łysą, potem Mały Kiezmarski i wogóle dużo w tamtej okolicy — ale, czy będziesz mógł wytrzymać wspinaczki dzień po dniu, same problemy...

— Oczywiście, postaram się — przerwałem, ciesząc się już myślą, że oto dzięki niemu przeżyję znów coś z niepowszedniej przygody, coś w wielkim stylu Stanisławskiego.

W kilka godzin potem, ciężki, a przecież tak umiłowany trud obładowanego taternika, pchał nas mozolnie ku szczytom — i na noc do „Votrubowej".

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Następnego ranka, pozostawiwszy bagaż przy Zielonym Kiezmarskim, ruszyliśmy ku Dolinie Jastrzębiej, by tam dla treningu przed Małym Kiezmarskim zrobić pd. ścianę Modrej Turni. Stokami Jastrzębiej szliśmy każdy po swojemu. Ze żlebu trawersowaliśmy trochę trudniej — ja obchodziłem płyty, zaś Wiesław szedł prosto, gdy wtem poderwało mnie jego wołanie: »polecę! rzuć linę!« Trawniczek, w który był wszczepiony nad płytą, zaczął się obsuwać — chwila, a spadnie wdół — szczęściem, kilku rzutami osiągnąłem stanowisko i cisnąłem koniec kilkumetrowej pętli.

Śmialiśmy się potem obaj: a toby ludzie mieli sensację — Stanisławski, zwycięzca największych ścian, zginął w drodze do Dolinki Jastrzębiej.

Drobny ten epizod ciągle żywo staje mi przed oczyma, przypominając to, co stało się w rok potem.

Długotrwała burza nie pozwoliła nam jednak wykonać zamierzenia tego dnia i nakazała odwrót.

Zanocowaliśmy u stóp Małego Kiezmarskiego.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jezioro nie ocknęło się jeszcze po nocy — największe tatrzańskie urwisko: północna ściana Małego Kiezmarskiego, cel nasz dzisiejszy, zamglone było jeszcze szarością świtu — gdyśmy już szli Niemiecką Drabiną ku jego górnym zerwom.

Wiesław, jak zwykle spokojny i pewny siebie, ja podniecony, z ciekawością w duszy: czy puści? Lecz on wiedział, że puścić musi — wszak wykreślił sobie już dawno drogę środkiem od piargu po szczyt, wszak w ubiegłym miesiącu połowy już dokonał.

Pokazał mi wreszcie miejsce, gdzie winno nastąpić wejście w ścianę. Nic nie mówiłem, ale wątpliwości moje wzrastały, patrzyłem na wszystkie strony, aż uwierzyłem... że nie puści, że jest niemożliwością i t. d. On również nic nie mówił, tylko począł rozwijać linę. Zdumiony spoglądałem to na niego, to na kilkunastometrowe przewieszki, jak dach wiszące nad nami; któż ich nie zna z przechodzących Niemiecką Drabiną, ale któżby pomyślał, któżby odważył się porwać na nie?

— Coś się tak zamyślił? — zbudził mnie głos towarzysza — prędzej, dawaj wszystkie haki, pętle!

Po przewiązaniu się liną, objaśnił skomplikowany bardzo sposób wejścia, wskazał powietrzny balkonik jako cel, i zaczął robotę — walkę, wymagającą ogromnej siły i wytrzymałości.

Po kilku próbach, posuwając się nadzwyczaj trudno ukośnie ku górze w bok od właściwego kierunku drogi, zdołał osadzić w pęknięciu hak, który zadecydował o powodzeniu. Na tym haku trzymałem go przez przeszło półtorej godziny, na prawie stale napiętej linie.

Gdy bowiem wyżej pójść było niemożliwością, obniżył się, i wisząc poziomo wbił następny hak samym koniuszkiem, jako jedyny chwyt na tym odcinku drogi. Pętla, zawieszona na haku, dawała oparcie stopie, druga daremnie szukała podstawy w próżni. Potem znów hak ledwo-ledwo trzymający, kocie, ciche, delikatne sunięcie po gładkich dachówkach przewieszki — i odpoczynek na pętli w powietrzu. Znów szpony palców wżerają się w granitowe cielsko — gumowe podeszwy trzewików trą o gładziznę nachylonych płyt — wysiłek nadludzki, krańcowy — przecież balkonik został zdobyty!

Kolej na mnie. Dobrze już zmęczony wybiłem właśnie ostatni hak, który z karabinkiem i pętlą zarzuciłem przez ramię — wtem podczas wspinania nagle pętla obsunęła się i wszystko poleciało do żlebu. Zły będąc na siebie, że tak nieopatrznie spowodowałem tę stratę, po dojściu do towarzysza i umocowaniu pojedyńczej liny, zjechałem z balkonika wdół i rzeczy te odnalazłem. Dla zaoszczędzenia czasu postanowiłem wejść po tej samej linie do góry, bez pomocy drugiej. Przeliczyłem jednak swe siły — to nie to samo, co wspinać się po grubej, twardej linie w sali gimnastycznej. Ręce omdlewały z wyczerpania, jeszcze metr, jeszcze tylko sięgnąć tego oto bloku — kurcz rozwarł mi palce — trzymaj! — i runąłem wdół — błyskawica, szarpnięcie — zawisnąłem tuż nad ostremi głazami, o które miałem się rozbić. Długo łapałem oddech w ściśnięte żebra, nim odpowiedziałem na jego wołanie, że wszystko w porządku.

Wybitny dowód nachylenia tych przewieszek: przez cały lot 15 m ani razu nie dotknąłem skały. A jaka świetna asekuracja! Jakże szybkiemu i mocnemu ściągnięciu liny przez towarzysza zawdzięczam swe ocalenie! Zrzucił mi drugą linę i podciągany silnie, wyszedłem już łatwiej. Dalsze odcinki nietrudnej drogi doprowadziły nas pod główny pancerz tej ściany, zbudowany z ogromnych płyt, mokrych od stale ściekającej po nich wody, zapewne z tających śniegów podszczytowego kotła. Innych możliwości nie ma — trza brać te potoki i te płyty oślizgłe zgniłemi porostami.

Wiesław idzie znów pierwszy — i wtedy najwyraźniej odczułem tatemicki genjusz towarzysza. Talent wielkiego wspinacza i nieugiętość woli pcha go ku górze wśród naprawdę najcięższych warunków. Lodowata woda strumieniami leje się za szyję i wypływa przez nogawice spodni — mrozi ciało i usztywnia dłonie. Człowiek powoli lecz nieustannie, spokojnie i pewnie zwycięża cal po calu; to wygrzebie z pod mchu jakiś stopieniek, to znów powierzy się jakiemuś wgłębieniu z pośród żyłek, wyżłobionych odwiecznem sączeniem strumyka. Gorzej — haki nie chcą wchodzić, nie ma żadnych pęknięć, stanowiska nie widać — ale pewność Wiesława każe mi wierzyć w gwiazdę powodzenia.

Tymczasem psuje się pogoda — szare mgły, co włóczyły się od rana, zaczynają siać deszczem. Owiały nas wokół chmury, barwy brudnej skały. Trzęsę się z zimna, lecz on go nie czuje, gnany żarem swego czynu. Po godzinnem zdobywaniu tych 35 metrów, zdołał nareszcie wbić porządnie hak i mogłem podejść do niego. Chylę czoła, gratulując mu — nie, nigdybym się nie odważył zrobić tej drogi na pierwszego.

Potem już wszystko wydało się łatwe — ścianki, kominki, rysy — czy jednak nie stracimy orjentacji? — prawie nic nie widać. Lecz powrót odcięty, zostaje tylko: naprzód! Wiesław jest zadowolony, coraz częściej wyciąga wilgotny

notes i zapisuje szczegóły pierwszego przejścia. O, już wie, gdzie jesteśmy: tam na lewo droga Komarnickiego, tu szlak Szczepańskich, wyjdziemy wprost na szczyt. Tylko szkoda, że niema widoku, że nie będzie szczęścia podziwiania morza ukochanych wierchów, swoich wierchów!

Czternaście godzin strasznego zmagania stało się już tylko wspomnieniem, kiedyśmy o godz. 18-tej legli przy szczytowym kopczyku na pierwszy dłuższy odpoczynek i pierwszy większy posiłek. Wśród różnych myśli wciąż się miesza radość wyczynu, i żal przeminięcia...

Zamknięta znów jedna karta taternickich triumfów, wydarta prawieczna tajemnica urwiska.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Gnani wichrem i deszczem, otuleni w mgły, błądziliśmy ku Rakuskiej Przełęczy. Dzień konał szybko, teren jakiś trudniejszy i obcy — ciemność i wzrastający grzmot ulewy.

Więc siedliśmy obok siebie w małym krzaczku kosówki na długą koszmarną noc wilgoci i zimna — łapiąc nikłe ciepło zapalonej latarki, póki starczyło świeczki. Bolesne drgawki, szczękanie zębami i przydługie wyczekiwanie świtu...

Następnego dnia dowlekliśmy się do schroniska przy Zielonym Stawie. Wypoczywając w domowem cieple, patrzyliśmy z za mokrych szyb w zmieniony świat: skróś urwisk północnej ściany Małego Kiezmarskiego ryczała pianą 400-metrowa siklawa, a Dzika Dolina wabiła przejasną bielą świeżego śniegu.

PAWEŁ VOGEL

* * *

Dobry byłeś Wiesiu.

Tyś mnie zaprowadził w turnie, tam zrozumiałem Twoją pasję do skały i że świat jest w dolinie a Twój w górach, że świat jest cudzy, górą chodzą nasi, a ja chodziłem z Tobą.

Wiedzieliśmy, że góry są nasze, że niema granicy, że każdy szczyt jest najpiękniejszy i dolina, a Ty na każdym byłeś i każdy kochałeś.

Omijałeś kwiatek w Łomnicy trudną przewieszką, żeby go nie zniszczyć; lubiłeś kwiatki i jelenie i kozice i świstaki, wszystko lubiłeś a najbardziej słońce w ścianie.

Żal, Wiesiu, że tego ostatniego dnia nie padał deszcz od rana, wiem żebyś poszedł nazajutrz i może byłoby inaczej. Żal Cię Wiesiu.

A. KENAR

O PROFESJONALISTACH TATRZAŃSKICH I PRZYSZŁOŚCI TATERNICTWA

Sport wysokogórski jest jednym z kosztowniejszych sportów. To nie jest pójście na boisko w koszulce i w spodenkach sportowych. W góry trzeba pojechać — nieraz z odległego miasta — i trzeba sobie sprawić stosunkowo kosztowny ekwipunek taternicki. Kiedyś, taternicy — jak pisze J. A. Szczepański [1]) — »była to garstka dżentelmenów, starannie dobranych i bodaj na tyle zasobnych finansowo, aby móc sobie pozwolić na luksus ściśle prywatnej i nieamortyzującej się ekono-

[1]) „Problemat profesjonalizmu w sporcie górskim", „Taternik" z 1933 r., str. 75 i n.

micznie pasji«. Dziś wśród taterników polskich przeważa raczej element niezamożny. Chcąc zatem uprawiać czynne taternictwo, wielu z nich musiało pomyśleć o jakimś nadzwyczajnym dochodzie. Co może zrobić np. student lub uczeń, żeby zdobyć w dzisiejszych czasach kryzysowych, odpowiednią sumę na pokrycie kosztów pobytu w górach? Otóż dla wielu niemal jedynym sposobem stał się t. zw. »profesjonalizm« czyli poprostu sprzedaż własnego talentu taternickiego i znajomości gór za gotówkę. To umożliwia im samym chodzenie »nie - profesjonalne« po górach. A więc: są ternicy, dla których możność bycia amatorem-taternikiem, opiera się na okresowych działaniach zawodowych. Zetknąłem się z tymi ludźmi blisko i stwierdzam, że nie znajdują oni w prowadzeniu ludzi po górach za pieniądze: 1^0 — żadnej, z tego zajęcia płynącej, przyjemności, 2^0 — nie robią tego z chęci zysku, lecz tylko, i prawie wyłącznie, na zakup n. p. środków żywnościowych. A więc ich profesjonalizm wypływa ze szlachetnej pasji do uprawiania taternictwa, które jest u podstaw swych bezinteresowne. Może to był powód, dla którego pragnęli się oni nazwać »przewodnikami—dżentelmenami«, aby w tych dwóch słowach wyrazić konieczność zmuszającą »dżentelmenów« do trudnienia się pracą przewodniczą, która ma cechy już raczej pracy fizycznej. Czasy powojenne wytworzyły już »fordanserów—dżentelmenów« i »zamiataczy ulic—dżentelmenów«. Jedni chcą zdobyć środki do życia, a inni do chodzenia po górach.

Po ukończeniu studjów, rozporządzałem w sezonie letnim 1932 r. wyjątkowo długim okresem wolnego czasu. I tak się w końcu złożyło, że stanąłem wobec konieczności zarobienia pieniędzy na dalszy pobyt w górach, albo wobec przykrości powrotu do Warszawy. Idąc za pierwszym impulsem, gotów byłem poprowadzić kogoś w góry za pieniądze. Koledzy moi byli bardziej »szczęśliwi« i rychło znaleźli »klijentów«, natomiast ja zdobyłem chwilę wolnego czasu, kiedy osamotniony siedziałem w Zakopanem nie mając za co wyruszyć w góry, i mogłem przemyśleć kwestję profesjonalizmu w taternictwie. Wtedy to doszedłem do wniosku, że rasowy taternik będzie zawsze czuł wstręt do zawodowstwa. Gdybym był rentjerem i w tej formie stał się »bezpłatnym zawodowcem«, to znaczy, że nic bym więcej w życiu nie robił, jak tylko chodził po górach — to myślę, że byłoby to nawet szczęściem, gdyż chęć chodzenia po górach wysuwa mi się ponad wszystkie inne pragnienia. Ale co innego jest — brać pieniądze za to, że umiem się wspinać. Przyznałem się, że uważałbym to dla siebie za wielkie nieszczęście. Najbliższą okazję, kiedy ceper pokazał mi wypchany portfel, — odrzuciłem i pojechałem do Warszawy. Uniknąłem »nieszczęścia« i tego, co czułem, że byłoby pohańbieniem mojego taternictwa, ale nie biorę za złe tym taternikom, którzy wybrali zawodostwo dla zaspokojenia chęci chodzenia po Tatrach. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ponieśli oni dla gór dużą i dobrowolną ofiarę. Ja zaś czuję się szczęśliwym, że uniknąłem tego, i mam możność zdobywania pieniędzy na drodze mej pracy zawodowej, która mi się podoba już właśnie z tej strony, że jest przemyślną grą o pieniądze.

Byłoby pewnie nieopatrznością rozciągać moje indywidualne poglądy na profesjonalizm w taternictwie na wszystkich tych, którzy są profesjonalistami. Są tam i tacy, którzy chodzą dla zysku, i tacy, którzy nie czują owego, przezemnie rozumianego »nieszczęścia«. A jeśli ich niema — to będą. Ale pionierzy, do których, jak mi się zdaje, J. A. Szczepański wlicza mnie w pierwszym rzędzie, innemi kierowali się pobudkami. Podkreślam jeszcze raz moje osobiste stanowisko: czuję się szczęśliwy, że uniknąłem profesjonalizmu w mojej pasji do gór.

Zakończywszy rozmyślania na temat dotyczący mojej osoby, zająłem się ogólnie kwestją profesjonalizmu wśród taterników. Uważałem, że taki stan rzeczy jaki istniał w owej chwili, był conajmniej niemoralny. Ternicy chodzący za pieniądze, mogli być łatwo posądzeni o chęć zysku, o nieuczciwą konkurencję w stosunku do przewodników-górali i t. p. Należało więc kwestję postawić jasno i z tego też powodu zwróciłem się do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z propozycją

zorganizowania przewodników-taterników w jakąś specjalną klasę zawodowców. Dokonawszy tego, uznałem moją rolę za skończoną, jestem bowiem w tej kwestji *out-sider*'em. O ile P. T. T. wywiązało się we właściwy sposób z tego zagadnienia — nie moja to już sprawa. Chodziło mi tylko o danie inicjatywy do konkretnego rozwiązania problemu przewodnickiego.

»Wytrwale modna dyskusja o przyszłości taternictwa«, jest zmorą spędzającą sen z powiek. Szczytem taternictwa czy alpinizmu wydaje mi się być eksploracja gór, w której mieści się i naukowiec i sportowiec. Obaj badają teren nieznany. Ale horyzontalizmu czy rekordów czasowych (Zamarła w 5 minut i ułamki sekund...) nie mogę uważać za nic więcej, jak za bardzo smutny objaw degeneracji, czy wprost zdziczenia idei taternickiej. Jabym Tatry w pewnym momencie zamknął murem lub drutem kolczastym z prądem o wysokiem napięciu. Uznałbym go za teren w 100% wyzyskany, a dla jego uroku i dlatego, że tylu ludziom dostarczył szlachetnych przeżyć — święty. Tylko ci z młodych pokoleń, którzy są zdrowi duchowo, mogliby korzystać z dróg na urwiskach tatrzańskich, gdzie uczyliby się rozumienia piękna i samej techniki wspinania, ale już dla eksploracji innych gór świata. Tatry byłyby wtedy taką pinakoteką starych mistrzów, gdzie młodzi malarze uczyliby się kultury ztezauryzowanej w płótnie i farbie obrazów. Niestety, są to marzenia i fantastyczne pomysły. Zaczynam czuć się członkiem »starszego pokolenia«, które minęło, nie rozumie nowych ludzi i dlatego z nimi walczy. J. A. Szczepański pisze często o boisku w Tatrach, o trybunach, rekordach czasowych i t. d. Ani nie popiera ani nie gani. Chce być »wiecznie młody« i iść jaknajwytrwalej z »duchem czasu« a jednocześnie tkwić mocno i w poprzedniej epoce (nie »złotej już, ale »srebrnej«, bo w pierwszej był w Tatrach jeszcze dziewiczy, »suchy« granit, a w drugiej dziewiczy, srebrny śnieg). Młodszy jestem od niego — ale chyba nigdy nie zrozumiem »ewolucji« taternictwa w kierunku boiska i będę, uporczywie może i po manjacku, walczył z tem antypatycznem pojęciem. »Integralne taternictwo« jak je nazywa J. A. Szczepański, powinno zostać ochrzczone jakimś innym terminem (np. »ciężka atletyka górska«), aby się nawet nazwą nie kojarzyło z taternictwem jakie myśmy znali i rozumieli.

Po tych niemiłych rozważaniach przyszłości Tatr, przyjemnie jest pomyśleć, że o ile nawet te różne nieszczęścia są nieuniknione, to jednak są jeszcze dosyć odległe. W lecie już jest niewiele do zrobienia nowego, ale zima jest jeszcze bardzo obszernym terenem do eksploracji taternickiej, i od jej śniegów, które są teraz zbawieniem taternictwa, nazywam obecną epokę »srebrną«, drugą wielką epokę odkrywczą Tatr. Poza nią — *przyszłość taternictwa leży już tylko poza Tatrami*, powtarzam z chórem innych taterników.

Warszawa, dnia 28 czerwca 1933 r. WIESŁAW STANISŁAWSKI

„EPOPEJA JAWOROWEGO SKOŃCZONA"...

Wielki ogień pożerał pnie kosówki przed szałasikiem u podnóża Jaworowych Turni. Szczyty noc zlała w jedną czerń.

Wiesław, siedząc na głazie w czerwonym blasku ogniska, powtarzał ulubione słowa: „epopeja Jaworowego skończona" — i cieszył się, że trzema nowemi drogami rozwiał legendę tych ścian.

Za nami było kilka dni taternickich zmagań, poza nami już szał chmurnych szlaków: pd. Środkowej Kapałkowej, przełęcz w Jaworowym, zach. wierzchołek Jaworowego pn. ścianą (13 — 16. VIII. 1932 r.). Czułem w kościach zmęczenie — nęcił spoczynek, to znów wspomnienia niedawnych przeżyć odpędzały spokój. Podziwiałem niezmordowanego towarzysza.

Pracował: wydobywszy jakiś duży zeszyt, oświadczył, że pisze ciąg dalszy górskiej powieści Skalni Ludzie, zresztą tytuł jeszcze nie ustalony. I rzeczywiście! — co jakiś czas topiąc oczy w wytryskach płomienia — myślał i pisał, wciąż pisał.

Nie chcąc mu przeszkadzać, oddałem się i ja myślom, sięgając po ostatnie wrażenia. Oto widzę nas na ścianie w drodze na zach. wierzchołek Jaworowego. Przecięliśmy już w linji prostej szlak Komarnickiego, i opuściwszy go, zaraz weszliśmy w nieznane. Potężny, chyba 100-metrowy filar pionowej płyty zamyka drogę — lecz w miejscu, gdzie wyrasta, kryje wilgotny komin. Wziąwszy go po zaklinowanych blokach, stajemy na półeczce pod wielką przewieszką. Jedyna droga właśnie po owej pionowej płycie. Lecz cóż to — hak? Bardzo stary, rdzą strawiony, dał się wyjąć ręką. — Więc powtarzamy ów słynny warjant Kordysa! — Hak przetrwał tu już ćwierć wieku! Pierwsi zdobywcy robili w tem miejscu żywą drabinę. Wiesław próbuje bez tego — widzę jak ciężko mu to idzie. Chwyty jeno na końce palców, stopni żadnych. Wielkim wysiłkiem zdobył po 8 — 10 metrach stanowisko już ponad przewieszką i natychmiast zawołał, że znów znalazł tu zniszczony hak. Doszedłem do niego.

Czy to trudniejsze od Zamarłej? (o to się bowiem nieraz później pytano). Bez żywej drabiny o tyle, że przynajmniej trzy razy dłuższe od najtrudniejszego miejsca w jej ścianie.

Dalej rysa z zaklinowanym, wąskim głazem, ten głaz owinięty pętlą. Tyle lat, a utrzymała się wcale dobrze, szarpana nie pęka, więc zostawiliśmy ją tam. Dziwiło nas, dlaczego Kordys tu zjeżdżał, czyżby wyżej naprawdę nie puszczało? Wyszliśmy jednak na stopień w otwartej ścianie — droga stąd wydaje się niepodobieństwem. Lecz Wiesław już coś dojrzał: jak zrobimy ten wściekły trawers, ściana jest nasza — orzekł.

W niezwykłej ekspozycji wiedzie wąziutka listewka, a na niej płaski, ruchomy blok, który jest tu wszystkiem, czego można się trzymać, to znaczy raczej delikatnie musnąć, gdyż drży pod ręką. Dalej gzymsik — ciało przypłaszcza się do gładkiej skały, potem wychyla w powietrze — i najdłuższy krok jaki wykonałem kiedykolwiek — decyduje o życiu.

Ten trawers oddał nam ścianę, a z nią błogość i słonko na szczycie.

..Oderwałem się od tych wspomnień i wróciłem do rzeczywistości. Noc już późna, z żywej kosówki zostały jeno pokręcone sploty zarzewia, a Wiesław pisał wciąż jeszcze...

Pomyślałem wtedy, że mam oto przed sobą oczywisty symbol nieskończonego umiłowania onych błędnych dróg podniebnych — a „taterników gwardja szalona" w nim właśnie ma największego swego przedstawiciela.

Przeto dziś żal mi niezmiernie, że tak przedwcześnie i niespodziewanie zakończyła się „Twoja epopeja" — niezapomniany Towarzyszu...

PAWEŁ VOGEL

Z OSTATNICH DNI

— To może ostatni mój sezon letni w Tatrach. Muszę zrobić ze 60 problemów. Pożegnać się z Tatrami. W zimie jeszcze przyjadę na urlop z wojska. Potem ty skończysz ten roczny kurs. Już ja cię przypilnuję. I razem do Ameryki Południowej. Jeszcze roczek wkuwania, potem kilkoletni kontrakcik, zbierze się trochę forsy, i góry...

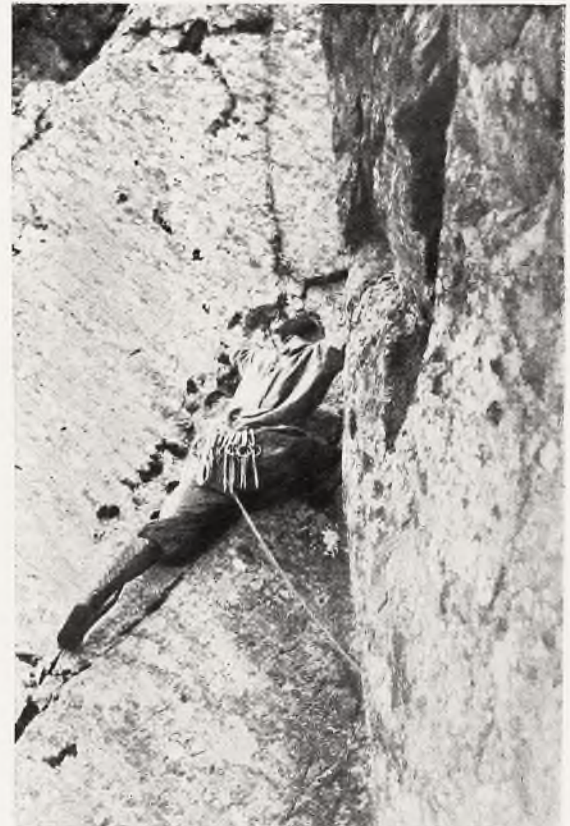
— Długie, ciężkie miesiące treningu, i cudów, cudeńków narobimy. Bez żadnych przewodników, tragarzy, tak skromniuteńko, ale tak wiesz... — i skrzą mu się oczy i czuję mocny, męski uścisk dłoni.

Sięga ręką po jeden z grubych bruljonów. Przeglądam tytuły: »Największe problemy Kordyljerów... główne zadania... Territorio de Magellanes...« Zaczynam czytać: »Ta część Kordyljerów zachodnio-patagońskich, ciągnąca się od 47° szerokości pd. aż do cieśniny Magellana, przedstawia najmniej zbadaną część Kordyljerów patagońskich. Tu również zwiedzić główne masywy w grupach: głównej, pośredniej i nadmorskiej, a nadto góry archipelagu, gdzie nawet wiele cieśnin i kanałów nadmorskich nie zostało jeszcze przez nikogo zwiedzone...«



15. VIII. 1932.

W. STANISŁAWSKI NA PD. ŚCIANIE ŚRODKOWEJ KAPAŁKOWEJ TURNI.



14. VIII. 1932.

W. STANISŁAWSKI NA WARJANCIE KORDYSA NA PN. ŚCIANIE JAWOROWEGO SZCZYTU.

fot. P. Vogel.

— No a potem, jak się już gruntownie poszwendamy po górach, siekiery w łapy i twój resort. Budujemy solidną łódź i te parę tysięcy kilometrów Amazonką. Miejscami całkiem dziki, niezbadany jeszcze kraj. To też będzie cudowna wyprawa. No, a jeszcze potem — Wiesiek odrzuca głowę w tył, uśmiech mu schodzi z twarzy i twardo, powoli mówi — Himalaje... Nanga Parbat południową ścianą... ...Kanchendzenga północno-wschodnią... Czomo Lungmo południową...

Wzrok mój pada na zapisany arkusz papieru. »26 punktów branych pod uwagę przy eksploracji terenów górskich«. Czyż nie mówi wyraźnie punkt dwudziesty. »Zasada: o ile istnieje taka możliwość, i jej urzeczywistnienie nie grozi niepowodzeniem całej wyprawie, wchodzić na szczyt lub przełęcz od najwspanialszej strony (co zwykle bywa najtrudniejszem urwiskiem)«.

— ...a przyjedź koniecznie w Tatry, pochodzimy sobie razem z Bolkiem, we trzech, — już ja Ci leniuchować nie dam. Przypomnimy sobie dawne czasy...

* * *

Roztoka... Stanisławski?

— Jest w tamtym pokoju, śpi.

Nie zdejmując ciężkiego wora, idę doń. Pociągam za nogę. Zrywa się rozpromieniony i krzyczy:

— Nareszcie draniu przyjechałeś! — Uścisk ręki krótki, ale taki, co to swoje się wie.

— Jak mi co przygotujesz to zjem. — Przynosi zapasy, szykuje herbatę i zaczynamy gwarzyć.

Chodzi teraz z Witkiem Wojnarem. Byczy chłop i dobrze się wspina. Puszczałem go już na pierwszego. Dwie drogi prowadził od początku do końca. A i do roboty w klubie się pali. Będziemy mieli z niego pociechę. Zaraz was zapoznam. To prawie zawodowy bokser — przedstawia — a to jest Justyn.

— Byczo — mówi Witek — nareszcie pan przyjechał, będziemy chodzić we trzech.

— No to opowiedzcie coś o tym sezonie... — Zaczynają wyliczać, zrobili to i to, teraz odpoczywają. Witek opowiada, że kilka dni temu tak był spompowany, iż na podejściu do Litworowej spuchł pod ciężkim plecakiem i wywrócił się do potoku. Musieli się wrócić. Ale teraz wypoczęli i obaj czują się świetnie. Jeśli jutro będzie pogoda, to ruszamy.

— Gdzie? — Chyba na Kaczy. Na Kaczy to na Kaczy, i zaczynamy grać w bridża.

* * *

Budzą mnie jakieś szmery. Słyszę jak Wiesiek z Witkiem uradzają, że niby dzień będzie fajny. Przez przymknięte powieki widzę ich siedzących na łóżkach. Wiesiek mnie trąca:

— Wstawaj.

— Czy musisz chodzić po górach? — odpowiadam, i odwracam się, usiłując zasnąć. Zaczynają żartować i biadać nad mojem lenistwem. Witek doradza:

— Weź się do niego i niedaj mu spać. Przecież mamy chodzić we trzech.

Biorą się do mnie i po chwili siedzę na łóżku. Wiesiek rozczapirzywszy ręce, zgina i rozgina palce. Jest dosyć chudy i raczej drobnej kości. Ale ma dobrą muskulaturę. Siedzi tyłem do mnie i wygląda jakgdyby rozpięty na ścianie. Trochę śmiesznie. Właśnie tak, jak wtedy gdy mi leciał na Kościelcu. Ten ma doprawdy fenomenalną intensywność.

Zaczynam się ubierać. Podczas gdy jemy śniadanie — jakiś gość szwenda się po schronisku, trzaskając drzwiami. Gdy znów przechodzi koło nas, Witek mruży oczy i zatyka uszy palcami, filuternie patrząc się na niego. Gość ma głupią minę i delikatnie zamyka drzwi.

— Niechby tylko chciał uderzyć — śmieje się Witek.

— No, smutnie by wyglądał — odpowiadam, patrząc na prężące się pod koszulą muskuły i na twarz promieniejącą świetnem samopoczuciem fizycznem.

Pakujemy się. Wiesiek bierze linę i Leicę. Witek plecak. Znikają w nim kolejno jedzenie, haki, karabinki, młotki i po dwie pary kleterek na twarz. Na gumowej i na sukiennej podeszwie.

— Po co aż po dwie pary? — »skarży się« Witek — wziąć te lub te. Wiesiek, jak on to czasami potrafi, tłomaczy łagodnie, z wyrozumiałością lecz stanowczo

— Weź, Witeczku, weź dwie pary. — Witek, podchwytując ton, udaje skarcone dziecko:

— No, bo tyle tego nieść. Ej, chyba zostawię...

I mój plecak już spakowany, więc biorę drugą linę i ruszamy.

— Tylko bez gazowania, uprzedzam — wolniuteńko też zdążymy. Całe życie przed nami.

Ponad Kaczym Stawem siadamy, by wypalić papierosa. Przed nami Ganek, Rumanowy. Fachowe projekty i krytyki. To i to wartoby jeszcze zrobić. Tymczasem pomiędzy ścianami zaczynają się plątać malutkie mgiełki. Coraz bardziej mglisto. Gdy jesteśmy ponad górnym progiem Doliny Kaczej, nie widać już zupełnie nic. Nasza ściana gdzieś rozpłynęła się w białem mleku. »Więc poczekamy aż się trochę rozwieje«, pada decyzja. Od czasu do czasu wynurzają się z mleka jakieś kontury, granie, ściany. Wykorzystując te momenty, posuwamy się na raty wgórę, i odnajdujemy wkońcu naszą północno-zachodnią ścianę. Mgły trochę rozwiało, rozpogadza się, i ścianę widać dobrze.

— Którędy? — Wiesiek odradza nam komin. Na prawo widać, że puści zupełnie łatwo. Nie warto na tę ścianę tracić zbyt dużo czasu. Lepiej zrobić tego dnia jeszcze coś od południa. Naprzykład nową drogę na południowej ścianie Batyżowieckiego. Ulegamy pokusie.

Ściana nie wygląda zbyt trudno. Wchodzimy w butach i nie wiążąc się. Wszędzie puści, więc zakosikami podnosimy się wgórę. Coraz wyżej i wyżej. Co pewien czas Wiesiek zatrzymuje się, by zanotować szczegóły drogi. Wreszcie grań i szczyt. Odpoczywamy. Bilet wizytowy wędruje z podpisami do puszki.

— Dziewiętnasty w tym roku problem już poza mną — oświadcza Wiesiek. — A jak się tobie, Just, po trzyletniej przerwie chodzi?

— Nieszczególnie, jestem trochę zmęczony i coś jakbym wyszedł z wprawy.

— No, nic dziwnego — pociesza mnie — jedna, druga wspinaczka i będziesz chodził jak anioł. No, ale chodźmy. Dwudziesty problem czeka. Jest tak wcześnie, że przed Batyżowieckim możnaby machnąć Kościółek.

— Ale ja całą ścianę Kościółka prowadzę — proponuje Witek.

— Zgoda.

Zaczynamy schodzić granią na Kaczą Przełęcz. Po drodze obserwuję Witka. Wspina się nie gorzej od Wieśka. Rzecz jasna, nie posiada takiej rutyny. Ale za to góruje pewną świeżością podejścia. Patrząc nań, zdaje się że nic nie może być dlań dość trudnem, że wszędzie pójdzie z uśmiechem i wszędzie przejdzie. W tej dwójce reprezentuje młodzieńczą śmiałość. Wiesiek znów, to przedewszystkiem doświadczenie i ostrożna rozwaga. Idealny zespół.

W pewnem miejscu grani Wiesiek oświadcza:

— Obejdźmy lepiej. Liny nie warto rozwijać a bez liny nie warto ryzykować. — I zaczyna schodzić na stronę Doliny Kaczej. Nie czekając aż zejdzie, próbuję obok. Skała dosyć zimna i jakoś mi brakuje stopieńków. Wyszedłem z wprawy. Nagle wymyka mi się chwyt i odpadam od skały. Ląduję bokiem, czule do ściany przytulony, na mocno pochyłej półeczce. Jak na zamówienie umieszczona. Delikatnie oglądam się na ekspozycję. Niezgorsza. Po chwili śmiejemy się z tego wypadku. Trzeci już raz w życiu odpadam bez asekuracji, no i jakoś nic. Postanawiam so-

bie jednak po cichu że, tego dnia, już nigdzie więcej nie pójdę. Tymczasem ustawiam stopy schodzącemu Witkowi. Jeszcze kilka minut i jesteśmy na przełęczy. Schodzimy do Batyżowieckiej. W zaśnieżonym żlebie obsuwa się dla odmiany Witek i jedzie kilkanaście metrów w dół, zatrzymując się na jakimś występie skalnym. Znów śmiech radosny.

Na piargu tuż pod przełęczą siadam wygodnie i zapalając papierosa, oświadczam:

— Na pierwszy dzień, uważam, jest dosyć. Zresztą jestem zmęczony i porobiły mi się pęcherze na nogach. Wrócę sobie powolutku przez Drąga.

Po bezskutecznych perswazjach proponują mi wspólny powrót. Zaczekam na nich na Batyżowieckiej Przełęczy.

— Nic z tego — kończę pertraktacje — moje obtarte nogi chcą sobie iść powolutku.

— Więc na Batyżowieckiej? — żegna mnie Wiesiek.

Idę swoją szosą. Przecież nie skrępowany ich towarzystwem, będę się mógł wlec tak wolno, jak tylko będę chciał. Mam jeszcze kilka papierosów, i chcę odpocząć. Nie ruszam się więc z miejsca. Widzę ich zupełnie dokładnie. Z dna doliny, z odległości kilkuset kroków, krzyczy Wiesiek: »Hallo, a jak zostawimy buty, wyniesiesz na Batyżowiecką Przełęcz«. Czuję w tem podstęp i zły jestem, ale odpowiadam: »Dobrze, zostawcie przy śniegu«. Idą dalej. Po kilkudziesięciu krokach stają znowuż i Witek krzyczy, że się rozmyślili i butów nie zostawią. »Dobrze!« odkrzykuję, tym razem z humorem. Będę mógł wracać sam, a dobrze mi zrobi, gdy tak sobie z górami pogadam.

Wiesiek i Witek podeszli już tymczasem pod ścianę. Siedzą tam dosyć długo. Chyba ze trzy kwadranse. Prawdopodobnie jedzą. Wreszcie widzę jak Witek pierwszy wchodzi w ścianę. Słyszę dokładnie ich głosy: »ściągam... idę... uwaga... zrzucam kamień...« Przechodzą jedną długość liny, potem drugą, i nikną poza załomem skały. Papierosy mi się skończyły, więc podnoszę się i ruszam, trawersując ku przełęczy by nie stracić na wysokości. Zatrzymuję się kilka razy, ale jakoś nie mogę ich dostrzec. Zaczynam piąć się w górę żlebem, spadającym z Przełęczy pod Drągiem. Nagle do uszu moich dociera głośny hurgot. Oho, myślę, musieli puścić potężny blok. Wyciągam zegarek. Jest trzecia za pięć minut. ...Dziwne, ale jedyna godzina z tego dnia, jaką dokładnie zapamiętałem.

Wypatruję ich w ścianie. Wydaje mi się przez chwilę, że widzę człowieka w połowie ściany — po chwili jednak widzę innego przy wejściu w skały, a i trzeci pod szczytem zdaje się wspinać rysą. Zamykam zmęczone oczy. Nie, to wszystko jednak tylko złudzenie wzroku — nie darmo dzieli nas w linji powietrznej ze 700 metrów. Niepokój całkiem nie na miejscu, rozumuję. Przecież jeśliby to była lawinka kamienna, no to w razie czego krzyczeliby do mnie, gdybym im był potrzebny. Nie jeden, to drugi. Zresztą na tarasie pod szczytem Kościołka siedzi cała gromada ludzi. Prawdopodobnie już dawno przeszli ścianę — przecież jest taka mała — i już odpoczywają gdzieś, albo nawet idą pod Batyżowiecki, jeśli nie zmienili planu. A hurgot, to lawina kamienna, która gdzieś tam sobie poszła.

Czekam jeszcze kilkanaście minut i wytłomaczywszy sobie, że niema żadnego powodu do niepokoju, ruszam na przełęcz. Dopiero po 8-ej docieram do Roztoki.

— A gdzie oni? — Nie wiem. Jeśli poszli na Batyżowiecki to może ich noc w ścianie zaskoczyć. Zmęczony kładę się do łóżka.

* * *

Gdy nie wrócili na noc, nie okazywaliśmy żadnego niepokoju. Ileż to razy każdemu z nas się trafiło. Mają przecież ze sobą pieniądze, więc siedzą gdzieś w Śląskim Domu. Chcą wykorzystać ładną pogodę, nie tracić dnia. Przecież nie obejdzie się bez tego, żeby wracając nie mieli czego po drodze zrobić. Następnego dnia na wszelki wypadek telefon do Zakopanego. — »Nie, nic nie wiedzą,

ale o Stanisławskiego możecie być panowie spokojni«. — W niedzielę rozmawiamy z kilkoma osobami ze starszej gwardji taternickiej. — »No, siedzą gdzieś tam, powodów do niepokoju niema«. Zresztą znalazł się ktoś, kto widział dwu, właśnie takich z liną, w Wielickiej. Opis się zupełnie zgadza. Ktoś inny znów słyszał, że Stanisławski dwa dni temu nocował w Staroleśnej. Wie o tem napewno od gospodarza schroniska. Postanawiamy jednak w poniedziałek rano wyruszyć na poszukiwania. Część do Śląskiego Domu, część do Batyżowieckiej, ja idę do Staroleśnej. Spotkamy się na Polanie pod Wysoką.

...Na punkcie zbornym zjawiłem się pierwszy. W Staroleśnej w tym roku jeszcze nie był, czekam na inne wiadomości. Wreszcie przyszli. Zanim zadałem pytanie, powiedziały mi wszystko ich twarze.

* * *

Więc już Cię niema między nami, Wieśku. »Zginąłeś« w pięknej, męskiej walce. W walce »bezcelowej«. Nie w łóżku. Nie w długich godzinach konania, gdy iskra życia w starczym organiźmie tli się zaledwie. Tyle wieczorów, nocy, przegadaliśmy o tem. Śmierć w górach nigdy nam nie była straszną. Nie myślę o tem że przyszła zawcześnie, że jeszcze tyle, tyle zrobić mogłeś...

No tak, społeczeństwo ma prawo... rodzina... no tak. Nie oni jednak mają prawdziwe prawo Cię sądzić. Czyż nie mówiliśmy tyle razy o tem? I czyż nie wiemy co o tem myśleć?

Odszedłeś od nas. I już Cię nie mamy. I już nie jesteś nasz. Jakże się buntują pokrzywdzone w swym egoizmie uczucia.

»Nie zna całego piękna męskiej młodości ten, kto nigdy nie odczuł jej burzliwych porywów, kto nigdy w niemającej końca i wiecznemi zgłoskami do uczuć człowieka przemawiającej przyrodzie — nie toczył boju ze śmiercią«[1]).

Ty nie raz toczyłeś ten bój. I nie byłeś nigdy syt zwycięstw. Cześć Ci za to, żeś nie spoczął na laurach, i nie poszedł ostrożnie na grzybki. Żeś się nie wycofał lękliwie na bezpieczniejsze tyły z pośród walczącej na wszystkich polach rozległego frontu, awangardy. Żeś do ostatniej chwili był pionierem.

Cenę zapłaciłeś bardzo wysoką. Lecz wiem, że nie żałujesz, bo niema zbyt wysokiej ceny za

»olbrzymi skarb najwyższej radości jaką zaznałem w życiu«[2]).

JUSTYN WOJSZNIS

SPIS WAŻNIEJSZYCH WYPRAW TATRZAŃSKICH WIESŁAWA STANISŁAWSKIEGO

ZESTAWIŁ J. O.

Zestawienie poniższe obejmuje, w topograficznym porządku ułożone, wszystkie nowe drogi i główne warjanty, oraz najważniejsze powtórzenia Wiesława Stanisławskiego. Wyprawy, uznane przezeń za najcenniejsze, oznaczono gwiazdką *. W nawiasach podano nazwiska towarzyszów wyprawy.

A. Drogi letnie.

Świnica. Częściowo nowa droga pn.-zach. ścianą, 5 sierpnia 1926 r. (Z. Królówna i Z. Hobrzański). — I. całkowite prz. pn. grzędy, 13 lipca 1927 r. (J. Wojsznis). — IV. w. pn. grzędą, 7 sierpnia 1931 r. (J. Chorzewska). — Warjant na pn.-wsch. ścianie, 21 sierpnia 1926 r. (Z. Hobrzański i D. Maurizio). — Ponadto pięciokrotne prz. wsch. grani Gąsieni-

[1]) K. Berger.
[2]) W. Stanisławski.

cowej Turni i sześciokrotne prz. wsch. grani Niebieskiej Turni, z różnymi towarzyszami.

Mylna Przełęcz. W. drogą Nr. 42 Przew. J. Ch. i M. Ś., 12 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna i B. Czech). — W. drogą Nr. 43 tegoż Przew., 3 sierpnia 1927 r. (J. Wojsznis).— W. drogą Nr. 44, 7 lipca 1928 r. (J. Wojsznis). — W. drogą Nr. 52, 24 czerwca 1927 r. (J. Wojsznis).

Zadni Kościelec. Nowa droga zach. ścianą, 1 września 1929 r. (M. M. Perlberżanka i L. Skotnicówna).

Kościelec. * I. w. zach. ścianą, 13 sierpnia 1928 r. (J. Wojsznis). — I. prz. dolnych urwisk pn. wsch. grani, 6 sierpnia 1928 r. (J. Wojsznis). — Warjant na pn.-wsch. grani 17 lipca 1927 r. (S. Hiszpański).

Mały Kozi Wierch. III. prz. pn. ściany, 15 sierpnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Zmarzła Przełęcz. II. w. od pd. na zach. siodło, 9 września 1929 r. (L. Skotnicówna). — * Nowa droga od pd., 5 sierpnia 1931 r. (S. Sandmeer i P. Vogel).

Zamarła Turnia. W. pd. ścianą: 8 i 26 lipca (B. Czech i A. Kenar; B. Chwaściński), oraz 11 i 14 sierpnia (L. i W. Sokołowscy; A. Stanisławska) 1928 r.

Kozie Czuby. XIII (?) w. pn. ścianą, 10 sierpnia 1929 r. (A. Stanisławska). — I. w. pd.—zach. ścianą, 9 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna, B. Czech, J. Ustupski i J. Wójcik).

Kozia Przełęcz Wyżnia. Warjanty w w. wprost od pn. (II. w.), 2 września 1929 r. (S. Bernadzikiewicz i Z. Gieysztor).

Kozi Wierch. VI. i X. w. pn. ścianą, 1 lipca (Z. Korosadowicz i A. Stanecki) oraz 15 sierpnia (Z. Galicówna) 1928 r. — Warjant w w. pn. filarem (II. w.), 31 sierpnia 1929 r. (L. Skotnicówna).

Granaty. Częściowo nowa droga pn.-zach. ścianą, 28 lipca 1928 r. (J. Wojsznis).

Mała Buczynowa Turnia. W. pn.-zach. ścianą, 4 lipca 1928 r. (Z. Korosadowicz).

Mała Buczynowa Przełączka. II. z. ku pn., 9 lipca 1928 r. (Z. Korosadowicz).

Ptak. II. w. pn. ścianą, 9 lipca 1928 r. (Z. Korosadowicz).

Krzyżne. Częściowo nowe z. do Dol. Roztoki, 20 lipca 1927 r. (samotnie).

Zadni Mnich. W. pn. ścianą, 25 lipca 1928 r. (B. Chwaściński).

Mnich. IV. prz. dolnej połowy wsch. ściany, 12 sierpnia 1929 r. (L. Skotnicówna, A. Kenar, Z. Krystek i A. Stanecki). — I. prz. dolnej połowy wsch. ściany kominem, 25 lipca 1930 r. (J. Gnojek). — * I. w. od wsch., 28 lipca 1930 r. (J. Gnojek). — I. całkowite w. pd. granią, 28 lipca 1930 r. (Cz. Bajer, J. Gnojek i S. Groński). — Ponadto pięciokrotne w. pn. ścianą, z różnymi tow.

Hruby Wierch. II. w. pn. ścianą, 16 lipca 1928 r. (B. Chwaściński i W. Sokołowski).

Cubryna. I. w. pn. ścianą, 16 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki i W. Wojnar).

Czubrynka. I. prz. w w. pn.-wsch. grani, 16 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki i W. Wojnar).

Hińczowa Przełęcz. Częściowo nowa droga wprost od Morskiego Oka, 14 lipca 1933 r. (W. Wojnar).

Mięguszowiecki Szczyt. IV. w. wsch. ścianą, 23 lipca 1928 r. (B. Chwaściński).

Mięguszowiecki Szczyt Środkowy. I. w. pd. ścianą, 18 lipca 1933 r. (W. Wojnar).

Wołowa Szczerbina. I. w. wprost od pn., 9. sierpnia 1931 r. (J. Staszel i A. Steinberg).

Wołowa Turnia. * I. w. pn. ścianą, 3 i 5 września 1929 r. (Z. Gieysztor, oraz — częściowo — S. Bernadzikiewicz). — * I. w. pd.-zach. ścianą, 9 sierpnia 1931 r. (J. Staszel).

Żabia Turnia Mięguszowiecka. II. w. od pn., 30 lipca 1928 r. (L. Skotnicówna).

Żabia Przełęcz Mięguszowiecka. Częściowo nowa droga od pn., 30 lipca 1928 r. (L. Skotnicówna).

Żabi Koń. * I. w. pn. ścianą (z. wsch. granią), 16 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna i B. Czech). — V. w. pn. ścianą (z. ku pn.), 23 lipca 1930 r. (Z. Galicówna).

Rysy. I. prz. w w. pn. grani, 20 lipca 1933 r. (Z. Godlewska, H. Ptakowska i W. Wojnar).

Przełęcz pod Rysami. I. w. od wsch., 13 lipca 1930 r. (W. Birkenmajer i J. Sawicki).

Niżnie Rysy. Częściowo nowa droga pn.-zach. ścianą (III. prz. ściany), 20 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki). — I. z. pd. granią, 20 lipca 1933 r. (Z. Godlewska, H. Ptakowska i W. Wojnar).

Czeska Przełączka. II. w. od pn.-zach., 1 sierpnia 1928 r. (M. Skotnicówna).

Żabi Szczyt Wyżni. I. w. pn.-wsch. ścianą, 21 lipca 1930 r. (J. Gnojek).

Białczańska Przełęcz Wyżnia. Częściowo nowe z. ku zach., 22 lipca 1928 r. (Z. Galicówna).

Żabi Mnich. W. pn. granią, 9 lipca 1930 r. (G. Haacke). — W. od Żabiej Lalki, 14 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna). — Ponadto dwukrotne w. pn.-zach. ścianą, z różnymi tow.

Żabia Lalka. W. pn.-zach. kominem, 14 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna).

Żabi Szczyt Niżni. I. w. pd.-zach. ścianą, 19 lipca 1930 r. (Z. Galicówna, T. Cielielski i K. Narkiewicz-Jodko). — V. w. zach. ścianą, 15 czerwca 1929 r. (L. Skotnicówna).— II. w. zach. filarem, 17 lipca 1933 r. (Z. Godlewska, J. Hryniewiecki i W. Wojnar).

Przełęcz pod Młynarzem. I. w. wprost od Czeskiego Stawu, 25 sierpnia 1932 r. (samotnie).

Czeski Szczyt.* I. w. pn - wsch. ścianą, oraz I. ścisłe w. pd. - wsch. granią, 25 sierpnia 1932 r. (M. Żuławski).

Przełączka pod Czeskim Szczytem. I. w. od pn. - wsch., 23 sierpnia 1932 r. (M. Żuławski).

Wysoka.* Nowa droga pn. ścianą, oraz ścisłe prz. grani między wierzchołkami, 27 sierpnia 1932 r. (M. Żuławski).

Mały Ganek. I. ścisłe z. pn. - wsch. granią, 1 sierpnia 1928 r. (M. Skotnicówna).

Galerja Gankowa. XI. w. pn. ścianą, 1 sierpnia 1928 r. (M. Skotnicówna). — * Nowa droga pn. ścianą, oraz IV. z. ku pn.- wsch., 19 sierpnia 1931 r. (M. Żuławski).

Kacza Turnia. I. z. pn. - wsch. granią, 1 sierpnia 1928 r. (M. Skotnicówna).

Gankowa Przełęcz.* I. w. od wsch., 17 lipca 1930 r. (J. Wójcik).

Rumanowy Szczyt.* I. w. wsch. żebrem, 2 sierpnia 1929 r. (B. Chwaściński i J. Wojsznis).

Kaczy Szczyt. I. w. pn. - zach. ścianą, 4 sierpnia 1933 r. (W. Wojnar i J. Wojsznis).

Przełączka pod Małą Kończystą. II. z. ku zach., 24 sierpnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Mała Kończysta. W. zach. ścianą, 24 sierpnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Batyżowiecki Szczyt. VI. w. pd. ścianą, 23 sierpnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Gierlach. Nowa droga wsch. ścianą, 30 lipca 1930 r. (J. Gnojek).

Pośredni Gierlach. I. w. pn.- wsch. żebrem, 9 lipca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski).

Gierlachowska Przełączka Wyżnia. I z. ku pn. - wsch., 30 lipca 1930 r. (J. Gnojek).

Wielicki Szczyt. Warjant na pn. - zach. ścianie (II. prz. ściany), 25 sierpnia 1929 r. (J. Wojsznis).

Mała Wysoka. II. w. pn - zach. ścianą, 13 lipca 1928 r. (S. Bernadzikiewicz). — II. w. pn.- wsch. ścianą, 11 lipca 1928 r. (Z. Korosadowicz).

Staroleśna. I. w. zach. ścianą, 31 lipca 1930 r. (J. Gnojek).

Skrajna Nowoleśna Turnia. I. w. pn. ścianą, 15 sierpnia 1931 r. (M. Żuławski).

Świstowy Szczyt. II. w. pd. - zach. ścianą, 17 sierpnia 1931 r. (M. Żuławski).

Wsch. Rówienkowa Turnia. II. w. pn. - wsch. granią, 11 lipca 1928 r. (Z. Korosadowicz).

Mały Jaworowy Szczyt.* Częściowo nowa droga pn. ścianą, 1 sierpnia 1930 r. (J. Gnojek).

Ryglowa Przełęcz Wyżnia. Częściowo nowa droga od pd., 1 lipca 1932 r. (H. W. Mogilnicki)

Stejłowa Przełęcz. I. w. od pd. - zach., 30 czerwca 1932 r. (H. W. Mogilnicki).

Jaworowy Róg. I. w. pd. ścianą, oraz I. z. ku pd. - zach., 30 czerwca 1932 r. (H. W. Mogilnicki).

Jaworowy Szczyt.* Częściowo nowa droga pn. ścianą na zach. wierzchołek, 14 sierpnia 1932 r. (P. Vogel). — * I. w. od pn. na przełęcz między wierzchołkami, 16 sierpnia 1932 r. (P. Vogel). — * I. w. pn. ścianą na wsch. wierzchołek, 7 lipca 1932 r. (J. Staszel).

Ostry Szczyt. W. pd. ścianą, z. wsch. granią, 14 lipca 1928 r. (S. Bernadzikiewicz).

Mały Lodowy Szczyt. VIII. w. pd. ścianą, 3 sierpnia 1928 r. (L. i M. Skotnicówne oraz T. Brzoza).

Żółty Szczyt.* I. w. zach. ścianą, 10 sierpnia 1929 r. (A. Kenar i A. Stanecki).

Kopa Lodowa. XII. w. pd. ścianą (II. prz. warjantu na pr. żebrze), 28 sierpnia 1929 r. (B. Chwaściński i I. Zamkovszky).

Ramię Lodowego.* I. w. pn. ścianą, 3 lipca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski.) — II. w. pn. - wsch. żlebem, 30 czerwca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski).

Środkowa Kapałkowa Turnia. I. w. pd. ścianą, 15 sierpnia 1932 r. (P. Vogel).

Mała Kapałkowa Turnia. I. w. pn. ścianą, 26 lipca 1933 r. (H. W. Mogilnicki i W. Wojnar).

Lodowa Przełęcz Wyżnia. III. w. od pn.- zach., 19 sierpnia 1929 r. (A. Kenar). — I. w. od pn.- zach. wprost na najniższe zagłębienie, 28 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki i W. Wojnar).

Śnieżny Szczyt.* I. w. pn.- zach. ścianą, 28 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki i W. Wojnar). — Ponadto trzykrotne prz. pd. - zach. grani, z różnymi towarzyszami.

Siwa Przełęcz. I. z. ku pd. oraz I. w. od pd. - zach., 28 lipca 1933 r. (samotnie).

Wielka Śnieżna Turnia.* I. w. pd.- zach. ścianą, 27 sierpnia 1933 r. (H. W. Mogilnicki i W. Wojnar). — I. w. pn.- wsch. granią, oraz I. z. wsch. ścianą, 29 czerwca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski).

Styrbna Przełęcz. I. w. od pd.- zach., 28 czerwca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski). — I. w. wprost od pd. - zach., 27 lipca 1933 r. (H. W. Mogilnicki i W. Wojnar). — I. w. od pn., oraz I. z. ku pd., 28 lipca 1933 r. (J. Hryniewiecki i W. Wojnar).

Środkowa Śnieżna Turnia. I. w. od pd. - zach., oraz I. z. ku pn. - wsch., 28 czerwca 1931 r. (A. Zalewski).

Przełęcz Ścienki.* I. w. od pd. - zach., 28 czerwca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski).



30. VI. 1932.

W DOLINIE RÓWIENEK.

fot H. W. Mogilnicki.

Mała Śnieżna Turnia.* I. w. zach. ścianą, 18 sierpnia 1929 r. (L. Skotnicówna i A. Kenar). — I. w. pn. ścianą, 1 lipca 1930 r. (J. Gnojek i T. Pawłowski). — I. w. pd.-zach. ścianą, 1 lipca 1931 r. (H. W. Mogilnicki)

Barani Zwornik Niżni. I. w. pn.-zach. ścianą, 8 sierpnia 1930 r. (S. Murczyński).

Przełączka pod Łomnicą. Częściowo nowa droga w zejściu ku pd.-zach., 4 lipca 1927 r. (J. Wojsznis). — III. prz. drogi od pd.-zach., 8 sierpnia 1929 r. (A. Kenar i A. Stanecki).

Łomnica.* I. w. zach. ścianą, 8 sierpnia 1929 r. (A. Kenar i A. Stanecki).

Mały Kiezmarski Szczyt.* I. w. środkiem dolnych urwisk pn. ściany, 12-13 lipca 1932 r. (B. Chwaściński i W. Ostrowski). — * I. w. środkiem górnych urwisk pn. ściany, 4 sierpnia 1932 r. (P. Vogel).

Czarny Szczyt. I. w. pd.-wsch. ścianą, z. granią Papirusowych Turni, 29 sierpnia 1929 r. (B. Chwaściński)

Czarna Przełęcz. I. prz. najniższego zagłębienia, 30 czerwca 1931 r. (A. Zalewski).

Kołowy Szczyt. I. w. pd.-wsch. żebrem, 30 czerwca 1931 r. (A. Zalewski).

Jagnięcy Szczyt. Nowa droga pd. ścianą, 10 sierpnia 1932 r. (A. Czarnocka i J. Pierzchała)

Kozia Turnia. I. w. pd.-zach. ścianą, 11 sierpnia 1932 r. (J. Pierzchała).

Wsch. Gajnista Turnia. I. w od pn.-wsch., 11 sierpnia 1932 r. (A. Czarnocka i J. Pierzchała).

B. Drogi zimowe.

Mylna Przełęcz. I. w. z. od pd.-wsch., 12 kwietnia 1928 r. (A. Alberti). — II. w. z. od pd.-wsch. i I. traw. z., 29 kwietnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Grań Kościelca. III. prz. z., 12 kwietnia 1928 r (A. Alberti).

Przełączka nad Dol. Buczynową. I. prz. w z. drogi od pn., 23 kwietnia 1928 r. (J. Małachowski i W. Paryski).

Grań Czarnych Scian. II. traw. z., 23 kwietnia 1928 r. (J. Małachowski i W. Paryski).

Wierch pod Fajki. IV. traw. z., 30 kwietnia 1928 r. (Z. Galicówna).

Miedziane. I. w. z. wprost od pn., 20 kwietnia 1933 r. (S. Motyka).

Ciemnosmreczyńska Turnia.* I. w. z., 31 grudnia 1929 r. (samotnie).

Ciemnosmreczyńska Przełączka. I. w. z. (od pn.), 31 grudnia 1929 r. (samotnie).

Żabi Szczyt Wyżni.* I. w. z. (w. pn., z. wsch. granią), 14-15 kwietnia 1930 r. (S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor i A. Kenar).

Białczańska Przełęcz Wyżnia I. w. z. od wsch., 14 kwietnia 1930 r. (S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor i A. Kenar).

Żabi Szczyt Niżni. I. w. z. wprost od Morskiego Oka, oraz IV. z. z. przez Owczą Przełęcz, 30 grudnia 1929 r. (A. Kenar i T. Pawłowski).

Przełęcz pod Młynarzem. I. w. z. (od pn.-zach.), 4 stycznia 1930 r. (A. Kenar i T. Pawłowski) — I. prz. z. w z. drogi od pn.-zach., 15 kwietnia 1930 r. (S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor i A. Kenar).

Młynarz. I. w. z. pd.-zach. granią, oraz II. z. z. ku zach., 4 stycznia 1930 r. (A. Kenar i T. Pawłowski).

Zadni Gierlach.* I. w. z. pn.-zach. ścianą, ogółem II. w. z. i II. z. z. pd.-wsch. granią a I. traw. z., 7-8 stycznia 1930 r. (A. Kenar i A. Stanecki).

Przełęcz Tetmajera II. z. z. ku zach., 8 stycznia 1930 r. (A. Kenar i A. Stanecki).

Lodowa Przełęcz Wyżnia.* I. traw. z. z pn.-zach. na pd.-wsch., 26, 28 i 29 grudnia 1930 r. (H. W. Mogilnicki).

Styrbna Przełęcz.* I. w. z., a zarazem wogóle I. w. i I. z. od pn., 28 grudnia 1931 r. (B. Chwaściński i W. Ostrowski).

...Posiadam moje notatki górskie od dnia 27 lipca 1925 roku, czyli od dnia, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem góry i od tego dnia każdą wycieczkę ja projektowałem, ja organizowałem, ja kierowałem wyruszeniem i przeprowadzeniem...

...W taternictwie mojem największą wagę przywiązuję do orjentacji, i z niczego innego jak właśnie z orjentacji, jestem najbardziej zadowolony. Ona mi pozwalała na to, że wchodząc w nieznane urwisko, zawsze znalazłem drogę odrazu na wierzchołek.

Z listów Wiesława Stanisławskiego.

W SPARWIE DROGI P. Dra K. NARKIEWICZA-JODKI NA RATEAU

W »Taterniku« z 1931 r., str. 144 — jak również w fachowych czasopismach alpinistycznych zagranicą, jak to: »La Montagne« z 1932 r. str. 365, »Bulletin trimestriel de la Section de l'Isére« z września 1931 r., str. 9, »Alpinisme« z 1932 r., str. 98, »Alpine Journal« z maja 1932 r., str. 140 i »Oesterreichische Alpenzeitung« z marca 1933 r., str. 84 — jak wreszcie w wielu dziennikach i czasopismach polskich, by wymienić choćby »I. K. C.« z dnia 22 sierpnia oraz z 11 września 1931 r., »Raz Dwa Trzy« z dnia 25 sierpnia t. r., »Przegląd Sportowy« z dnia 16 września t. r., »Dziennik Poznański« z dnia 30 września t. r., »Stadjon« z dnia 15 października t. r., »Turysta Polski« Nr. 5. z jesieni t. r., »Wierchy« z t. r., str. 174, »Świat« z dnia 2 stycznia 1932 r., »Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich«, Warszawa 1933 r., str. 195 i i. — ukazały się krótsze lub dłuższe wzmianki i artykuły, podające, że w dniu 31 lipca 1931 r. p. Dr. Konstanty Narkiewicz-Jodko wszedł samotnie z lodowca Rateau na środkowy wierzchołek szczytu Rateau, co byłoby pierwszem wejściem na ów szczyt wprost od północy, a tem samem jedną więcej polską nową drogą w Alpach.

Wobec wątpliwości, jakie w lecie 1933 r. wzbudziły jednak szczegóły tej wyprawy, Zarząd Sekcji Turystycznej PTT. we wrześniu 1933 r. powołał do życia specjalną komisję, która miała za zadanie rozpatrzeć wszelkie okoliczności wymienionej wycieczki i wydać o niej swoją opinję. W skład komisji weszli, uproszeni przez Zarząd, członkowie honorowi Sekcji: pp. Prof. Dr. Walery Goetel, Prof. Dr. Zygmunt Klemensiewicz i Red. Dr. Roman Kordys.

W ciągu października 1933 r. rzeczona komisja przeprowadziła nader skrupulatne badania całej sprawy, posługując się obfitym materjałem faktycznym, zestawionym przez siebie, jak również ustnemi wyjaśnieniami p. D-ra Narkiewicza. W wyniku tych badań, komisja — w dniu 18 października t. r. — orzekła, że:

p. Dr. K. Narkiewicz-Jodko nie przeszedł właściwej ściany północnej Rateau i nie był ani na środkowym, niższym (3766 m), ani na wschodnim głównym (3809 m) wierzchołku Rateau.... Należy przypuścić, że wyszedł on północnemiczysto śnieżnemi stokami wschodniej grani Rateau, w sposób mniejwięcej odpowiadający drodze 55 w Przewodniku E. Gaillarda t. II. cz. 1, na bliżej nieokreśloną turnię tejże grani.

W dniu 26 października 1933 r. polecił Zarząd Sekcji ogłosić powyższe orzeczenie w najbliższym zeszycie »Taternika«, a to tembardziej, skoro szczegóły drogi p. D-ra Narkiewicza na środkowy wierzchołek Rateau spotkały się już z surową krytyką alpinisty francuskiego p. H. Salina w »La Montagne« z 1932 r., str. 428, którą powtórzył już również »Alpine Journal« z maja 1933 r., str. 163. Równocześnie zawiadamia Zarząd Sekcji, że odpowiednie sprostowanie przesłał, również redakcji »La Montagne«, która ogłosiła pierwotny opis p. D-ra Narkiewicza.

MATERJAŁY DO HISTORJI ALPINIZMU POLSKIEGO

VII. Droga do pierwszych zbiorowych wypraw egzotycznych.

Taternictwo polskie okresu Chałubińskich i Pawlikowskiego było jaknajściślej związane z epopeją góralszczyzny i rosło zupełnie obok i poza rozwojem alpinizmu europejskiego. Taternicy polscy owych czasów, byli to ludzie dążący poprzez górskość do możliwie pełnego współżycia z pierwotnymi mieszkańcami gór, przyczem w danym wypadku chodziło wyłącznie o polskich Podhalan. Dlatego w owych czasach w góry pozakarpackie udawali się z Polski wyłącznie ludzie Tatrom całkowicie obcy, nie mający zresztą na oku alpinistycznych, lecz czysto podróżnicze cele. Takim był np. Rogoziński, sławny zdobywca Kamerunu.

Świadome ograniczanie się do celów tatrzańskich znika dopiero u następnych pokoleń taternickich, ale i u nich widać, niemal aż po 1914 r., ujemny wpływ warunków politycznych o ile chodzi o program ich pozapolskiej ekspansji alpinistycznej. Sprawa przedstawiała się jasno: w obliczu ucisku narodowego, każdy cel którego wartości nie można było doraźnie sprawdzić, stawał się niepotrzebny, a w pewnym sensie nawet narodowo szkodliwy. „Marnowanie" pieniędzy na „bezcelowe" uganianie się po obcych, dalekich górach — to był przecież występek przeciw idei koncentracji sił narodu... w czasach, gdy nawet *par excellence* naukową i patrjotyczną wyprawę Rogozińskiego powitano jako zbędny, niewczesny wybryk narodowego romantyzmu.

W tych warunkach nie było rzeczą dziwną, że w czasach gdy inne narody europejskie podjęły swoje liczne wyprawy w nieznane góry Egzotyku — Polacy nie zdobyli się na żaden współudział w tym wyścigu odkrywczym, nie było też dziwne, że nawet systematyczną działalność alpinistyczną uprawiali tylko ci Polacy, których albo związki z polskością były nader luźne (A. Rzewuski), albo którzy w danej chwili związani byli całkowicie z innem środowiskiem (bracia Smoluchowscy). Co więcej, jeszcze w 1907 r. gdy Chmielowski jechał w Dolomity i Kaisergebirge — celem jego była raczej konfrontacja alpinizmu z taternictwem dla dobra tego ostatniego, czyli taternictwo jako ostateczny cel górski, a nie odwrotnie. I właściwie dopiero w ostatnich latach przed wojną świadomie poszukali taternicy polscy w Alpach większego niż mogły im dać Tatry celu działania.

Wobec tego nie było jednak niespodzianką, że przemiany polityczne 1918 r. wywołały zmianę sytuacji, i że wyjazd poza Polskę — nawet alpinistów — utracił wreszcie charakter lekkomyślnego trwonienia pieniędzy. Szybko znaleźli się też ludzie, którzy w ewentualności sukcesów sportowych na terenie gór obcych wykryli najlepszą, jaka być może, propagandę sportową, i zaczęli głosić te wartości.

Pierwszym z nich był inż. Adam Karpiński, który w 1924 r. wystąpił z planem... wyprawy polskiej na Everest. Energicznie zniósł się Karpiński z przedstawicielami najbardziej ruchliwej ówcześnie organizacji taternickiej w Polsce, Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie, proponując jej współudział w wyprawie. W „Stadjonie" z września 1924 r. ogłosił następnie Karpiński pracę krytyczną o angielskich wyprawach na Everest i o możliwości zdobycia go przez Polaków, zkolei nastąpiło ustalanie terminu wyjazdu z Polski (na luty 1925 r.) i załatwianie zagadnień personalnych (w wyprawie mieli wziąć udział A. Ferens, por. K. Kalina, A. Karpiński, A. i dr. M. Sokołowscy, pod wodzą d-ra Osmólskiego). Sfinansować całe przedsięwzięcie miał kupiec F. Baytel, który później zbankrutował. Równolegle z załamywaniem się inflacji, załamały się i projekty owej wyprawy, a ostatniem jej echem stała się humoreska F. Goetla „Wyprawa na Bim-Ba-Buja".

Ale po tej prywatnej inicjatywie przeszły hasła zorganizowania alpinistycznej wyprawy zagranicznej w ręce kierowników STPTT. Najbardziej gorliwymi ich zwolennikami stali się najpierw dr. R. Kordys i dr. M. Świerz, Kordys pierwszy sformułował najmodniejszy dziś wśród taterników aforyzm, że „przyszłość taternictwa leży poza Tatrami", Świerz podjął działalność propagandową, przypominając np. „Udział Polski w podboju olbrzymów górskich"[1] i wzywając do jego kontynuowania. W latach 1927—1929 podtrzymywano następnie w STPTT projekt wyprawy w masyw Ala Dagh gór Taurus. Główni zwolennicy tych planów, dr. M. Świerz i S. K. Zaremba, rozpoczęli już gromadzenie źródeł i rozważanie zagadnień personalnych — ale na przeszkodzie rozwojowi całej akcji stanął znowu zupełny brak realnych środków finansowych.

Zato z 1931 r. rozpoczęły się wyprawy alpejskie STPTT, które pierwsze ze stadjum pomysłów i przygotowań faktycznie wprowadziły alpinizm polski na arenę alpinizmu europejskiego. W niezmiernie szybkiem tempie urósł z tych wypraw kapitał moralny dla zamie-

---

[1]) Por. „Przegląd Sportowy" z dnia 7 kwietnia 1928 r. Podobną propagandą zajmował się później także J. A. Szczepański, omawiając „Udział Polaków w zdobywaniu gór świata" („I. K. C." z dnia 13 lipca 1931 r.) i apelując otwarcie „O polską wyprawę alpinistyczną" („I. K. C." z dnia 5 grudnia 1930r.).

rzeń na jeszcze większą skalę. Już więc w 1933 r. udaje się prywatnej inicjatywie d-ra Konstantego Narkiewicza-Jodki doprowadzić do skutku — przez Ligę Morską i Kolonjalną oraz PTT firmowaną — wyprawę w Andy, wolno też przypuszczać, że niezależnie od wymienionej dojdą z Polski do skutku i inne wyprawy. Alpinizm polski, dzięki rozważnym i systematycznym wysiłkom swej kierowniczej organizacji, ma wszelkie dane do zajęcia poważnego miejsca w dziejach współczesnego alpinizmu światowego.

Omówiwszy jednak w ten sposób drogę do alpinistycznych wypraw klubowych poza Europę, nie możemy również zapomnieć, że, pomimo wszystkie przytoczone okoliczności, pierwszą kolektywną wyprawę z Polski w góry egzotyczne zaprojektowano już na początku obecnego stulecia. Mianowicie już w 1902 r. wystąpił z odpowiednią inicjatywą, osławiony później ze swoich mistyfikacyj, Karol Artur de Englisch-Payne z Krakowa, na którego, z racji jego niepewnej przynależności narodowej i ściślejszych związków z turystyką niemiecko-węgierską niż polską, najmniej mogły oddziaływać wymienione powyżej patrjotyczne hamulce. Englisch wymyślił sobie wyprawę zimową do Kaukazu i w „Przeglądzie Zakopiańskim" z 1903 r., str. 133, wezwał chętnych do „ewentualnego zgłoszenia współudziału", równocześnie jednając sobie jako najważniejszych towarzyszów, alpinistów węgierskich, d-ra Karola Jordana i Teresę Egenhofferównę. Wyprawa nie doszła do skutku, osoba organizatora — choć stał za nim początkowo Węgierski Klub Turystów — nie wzbudziła dostatecznego zaufania.

VIII. Polacy w górach Meksyku.

Ściślej określając, znamy tylko jednego podróżnika polskiego, który dotarł do tych terenów. Był nim wybitny uczony, dr. Emil Habdank Dunikowski (1855—1924), prof. geologji na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, który w 1910 r. wziął udział w międzynarodowym zjeździe geologów w Meksyku, i w związanej z nim szczegółowej podróży po tym kraju. Zobaczył więc Dunikowski Orizabę i Popocatepetl, konno lub pociągami wydostawał się nieraz na znaczną wysokość (Huamatla 2550 m, La Cima 3110 m, Przełęcz Aranzas 3300 m), ponadto zaś zwiedził Sierra Oaxaca 1200 m na Istmusie meksykańskim, oraz odbył pieszo wycieczki: na wulkan Jorullo 1320 m i na Volcan de Colima 3860 m, a wreszcie wyszedł również na Pico del Fraile 4564 m, najwyższy wierzchołek wielkiego wulkanu Nevado de Toluca. Ale jest to wszystko teren bez żadnych trudności — chociaż wejście na Tolucę było jedno z pierwszych — ze śmielszych czynów Dunikowski zgóry zrezygnował. Gdy więc jeden z jego kolegów, prof. Königsberger, wyruszył na Orizabę (5700 m), odmówił mu swego towarzystwa, ponieważ „szalone trudy pięcia się na górę w rozrzedzonem powietrzu nie odpowiadają ani sumie korzyści naukowych ani przyjemności" (cytat ze 152 str. jego obszernego i barwnie napisanego tomu podróżniczego p. t. „Meksyk", Lwów 1911 r).

SKALNE DROGI

WOŁOWA TURNIA. I wejście pn. ścianą. Podpisany, z Z. Gieysztorem, dnia 3 i 5 września 1929 r. (w dniu 5 września 1929 r. szedł górną częścią tej drogi również S. Bernadzikiewicz).

Osobliwą strukturę pn., ok. 480 m wysokiego, urwiska Wołowej Turni najlepiej można zaobserwować o wschodzie słońca, kiedy ściana szczytowa wyraźnie załamuje się w pn.-wsch. i pn.-zach., rozdzielone pionową krawędzią pn. grzędy. Pn.-wsch. ściana schodzi aż do piargów i zajmuje całą dolną część urwiska, które w tej części wykręca się skosem, gładkiemi płytami, ku pn.-wsch. Pn.-zach. ściana natomiast jest znacznie krótsza, wyodrębnia się dopiero w górnej połowie urwiska i jest zwrócona ku kominowi, spadającemu z przełączki, położonej bezpośrednio na pn.-zach. od wierzchołka Wołowej Turni. Komin ten, dość głęboko w skały zapadły, wielokrotnie przewieszony, spada początkowo wprost wdół, wzdłuż pn.-zach. ściany, poczem, już poniżej niej, wykręca się wraz z całem urwiskiem ku pn.-wsch. Pn., wyżej wspomniana, grzęda, dzieląca urwisko na pn.-wsch. i pn.-zach. ścianę, opada wprost z wierzchołka ku dołowi, rodzajem grani, poczem przekształcając się stopniowo w ścianę, odchyla się coraz bardziej w pr., ku zach., i w końcu, mniejwięcej w połowie wysokości całego urwiska, zamyka pn.-zach. ścianę ku wyżej opisanej rynnie.

Droga prowadzi początkowo dnem komina, poczem, gdy ten zaczyna biec wzdłuż pn.-zach. ściany, wchodzi w tę ostatnią trawersem, przebiega skosem w l. i wreszcie krawędzią pn. grzędy wyprowadza wprost na wierzchołek Wołowej Turni. Z tego też powodu całość drogi rozpada się na dwie, charakterem zupełnie różne części: komin i ścianę.

Drogą Nr. 430 Przew. J. Ch. i M. S. do miejsca, gdzie piarżysto-skalisty zachód, poczynający się u wylotu żlebu spadającego z Żabiej Przełęczy, biegnąc w pr. przekształca się w trawiastą półkę i niebawem wchodzi w żleb, którym wiedzie droga Nr. 430. Nieco przed wylotem tego ostatniego żlebu w l., przez niską, łatwą ściankę na początek wąskiej,

skalisto-piarżystej półki (kopczyk) ciągnącej się ponad dnem żlebu, równolegle do niego, wzdłuż litych skał ściany Wołowej Turni. Półką tą, w połowie zawaloną dużemi głazami, ok. 40 m prawie poziomo w pr. aż do skrzywionego wylotu, we wstępie opisanego, komina (kopczyk). Teraz dnem jego 15 m wprost wgórę na, z l. strony położoną, kilka m długości i ok. 1 m szerokości liczącą, żwirem przysypaną, płytową półkę (kopczyk) znajdującą się u dolnego brzegu pasa, gładkich i stromych płyt, przebiegających całą szerokość ściany, i nakrytego równym pasem wysokich przewieszek. Teraz w dalszym ciągu dnem komina, zapieraniem, wśród zwiększających się trudności, 15 m wgórę, mając z l. strony wyżej opisane gładkie płyty a z pr. dość wysokie żebro (komin bowiem jest wyraźną pr granicą owego pasa płyt). Znajdujemy się teraz na niewygodnem stanowisku, w miejscu, gdzie płyty z l. strony kończą się pod równoległym do nich pasem, wyżej wspomnianych, wysokich przewieszek. Komin przebija się przez te przewieszki i ta jego część jest najtrudniejszym odcinkiem drogi.

Z wspomnianego niewygodnego stanowiska w pr. na białą i kruchą ściankę komina i nią 5 m b. trudno, do miejsca, gdzie możemy ostatecznie stanąć na niewyraźnym stopieńku, poczem b. długim, nadzwyczaj trudnym krokiem w l. pod niezmiernie kruchą, wodą ociekającą przewieszkę w kominie (hak) i przez nią ok. 4 m nadzwyczaj trudno wprost wgórę, w pierwszej chwili pomagając sobie hakiem (przy pierwszem podciągnięciu jedyny chwyt), na niewielki lecz dość wygodny stopień w pr. ściance komina. Tą ścianką, po mocnej, białej skale 12 m b. trudno wprost w górę na stopieniek pod przewieszkami (kopczyk), skąd 3 m poziomym, przy pierwszym kroku b. trudnym, trawersem w l. z powrotem do komina. Z jego dna wyodrębnia się kilkumetrowe, z litej białej skały zbudowane żeberko. Rysą po jego pr. stronie (na pr. duża, gładka płyta, na l. tępa, bez chwytów krawędź żeberka) 6 m nadzwyczaj trudno, wciągając się nieco wyżej na dwa gładkie, jeden nad drugim umieszczone, płytowe stopieńki. Z drugiego stopieńka okraczając niską krawędź żeberka (w miejscu, gdzie się ona zatraca) w l., b. długim krokiem na zwietrzałe dno komina. Ponad nami znów się wyodrębnia nowe, niewielkie żeberko z dna komina, tym razem jednak niezmiernie kruche i od dołu podcięte. Rysą po jego pr. stronie 3 m nadzwyczaj trudno wprost w górę (b. krucho) poczem b. długim, nadzwyczaj trudnym krokiem w pr. na minjaturowy stopieniek w gładkiej ściance i nią (mocna skała) 4—5 m nadzwyczaj trudno wgórę do miejsca, gdzie komin przecisnąwszy się przez wyżej kilkakrotnie wspomniany pas przewieszek, traci na krótki czas nieco na nachyleniu (pr. żebro rozpłaszcza się). Teraz albo samym kominem albo po jego pr. stronie (wygodniej), po mocnej skale, 45—50 m w trudnej, względnie tylko w dość trudnej wspinaczce, na niezłe maleńkie stopieńki w kominie w miejscu, gdzie ten poczyna się znów b. spiętrzać. (Widać stąd na l. w ścianie ustawiony kopczyk, do którego zbaczać nie należy).

W tem właśnie miejscu pn. grzęda (opisana we wstępie) zamyka pn.-zach. ścianę ku kominowi. Ową grzędę jest tu b. trudno rozpoznać, jest to bowiem jej ścienna część. Z wspomnianych niezłych maleńkich stopieńków w kominie najpierw 15 m skałami bardziej z pr. strony (wygodniej) wśród niewielkich trudności, dalsze jednak 30 m, gdzie już wspinamy się dnem komina, jest trudne. W końcu stajemy pod, całą szerokość komina zagradzającą, przewieszką. Ściek wody przeciska się płytkim kanalikiem całkiem z l. strony, lecz wyjście tamtędy byłoby znacznie trudniejsze od pokonania przewieszki wprost. Z b. niewygodnego stanowiska płytowem, krótkiem zacięciem, prawie bez chwytów (lecz po mocnej skale) 5 m nadzwyczaj trudno wgórę (żebro z pr. strony jest tu opancerzone jedną wielką płytą; skały z l. strony tworzą wielkie przewieszki) na rodzaj wąskiej, kruchej półeczki tuż pod przewieszką (hak) poczem poziomo w l. (niezwykle krucho, chwyty b. wysoko) jak się przewieszka obniża i po $2^1/_2$ m trawersu wprost wgórę, nadzwyczaj trudno przez przewieszkę na nieco mniej stromy teren, którym, minąwszy płytkie wgłębienie w kominie, 15 m wgórę do jego nowego spiętrzenia się. Pionowem, ogromnie kruchem jego dnem 10 m b. trudno, poczem przez ciasne, dobrych chwytów pozbawione zwężenie się komina nadzwyczaj trudno i jeszcze 15 m b. trudno popod wielkie przewieszki ściany, skąd ruchomym dnem komina z odchyleniem w pr. 10 m na nieoczekiwaną, dużą platformę, położoną z pr. strony komina. Teraz kruchemi skałami z pr. jego strony, tuż w jego pobliżu 15 m na nową piarżystą platformę w kominie. (Od tego miejsca można się łatwo wydostać prawą grzędą komina aż na przełączkę położoną bezpośrednio na pn.-zach. od wierzchołka Wołowej Turni). Tu komin opuszczamy. Z wspomnianej w nim platformy w l. na, o kilka m wyżej pod ścianą położoną, głazami zawaloną drugą platformę (kopczyk). Stąd w l. poza węgieł na otwartą pn. ścianę (czyli dolną część pn. grzędy) i poziomym 25-metrowym trawersem, w wielkiej ekspozycji, po gzymsach i listwach skalnych, a wreszcie z pomocą pęknięcia pod przewieszonemi skałami, na sporą, płaską platformę (kopczyk). Z niej przez 3 m przewieszoną ściankę bardziej z pr. jej strony (dość trudno) na drugą platformę i dalej przez nową 3-metrową ściankę na trzecią platformę, która wydłuża się w l. i przechodzi w półkę, potem gzyms, listwę i wreszcie kończy się w załamaniu ściany znów dość obszernym stopniem. Ze stopnia tego, z bloków zbudowaną, trochę przewieszoną ścianką wprost wgórę, w wielkiej ekspozycji (dobre chwyty; skała już wszędzie mocna) i minąwszy wąską półeczkę, na zawaloną głazami

platformę (kopczyk). Odchylającym się w l., płytkim i wąskim kominkiem po kilkunastu metrach do miejsca, gdzie przekształca się w trawiastą półkę. Nią w l. i po kilku m na piarżysto-trawiasty taras, położony bezpośrednio na krawędzi, szerokiej tu jeszcze pn. grzędy. Popod pionową jej gładką ścianką, nieco się obniżywszy, trawiastym gzymsem w l. do jego końca, skąd wprost wgórę, stromemi lecz bogatemi w chwyty skałami, w dość trudnej i pięknej wspinaczce, przez bloki, ścianki i rysy, mijając niewielkie stopnie i platformy, cały czas z odchyleniem w pr., po 20—30 m na krawędź pn. grzędy, która tu dopiero jest wyraźna i wybitna. Teraz, napotykając już tylko jedno trudne miejsce (ominięcie ścianki w krawędzi po l. stronie) 60—70 m krawędzią pn. grzędy, wprost na wierzchołek Wołowej Turni (od wejścia ok. 9 godz.)

Droga b. piękna, o niezwykle wielkich trudnościach.

W. Stanisławski

KOŚCIÓŁEK. Próba I. w. zach. ścianą. † W. Stanisławski i † W. Wojnar, dnia 4 sierpnia 1933 r.[1])

Cokolwiek na pr. od linji spadku wierzchołka przecina ścianę komin.

Z Dol. Batyżowieckiej, trawiasto-piarżystemi i skalistemi zachodami do stóp owego komina.

Nim. .

JAWOROWY SZCZYT. I. wejście pn. ścianą zach. wierzchołka. Podpisani, dnia 14 sierpnia 1932 r.

Pn. ściana zach. wierzchołka Jaworowego Szczytu rozpada się na trzy części: urwiste górną i dolną, rozdzielone połogim pasem szerokich zapoli.

Poprzez dolną część urwiska, mniejwięcej w środku jego szerokości, ciągnie się płytka, o jaśniejszych skałach depresja. Wejście na ścianę znajduje się u początku owej depresji, nieco na l. od miejsca, gdzie podstawa ściany, biegnąc w pr., załamuje się ostrzej, poczem zaczyna silniej wznosić się do góry, niemal równolegle do piargów żlebu spadającego z Rozdziela.

Z piargów albo śniegu przez płytę na piarżystą platformę, poczem wskos w pr. do nowej skalisto-piarżystej platformy. Z niej wskos w l. kruchemi ściankami i stopniami do rodzaju niewyraźnej, płytkiej rynny, która ciągnie się wprost w górę samem dnem opisanej na wstępie depresji ściany. Rynną wprost wgórę (pod koniec trudno) na piarżysto-skaliste stopnie. Stąd wskos w pr. ku górze, przez kilkumetrowy prożek, na wielki, luźno leżący blok, z którego w l. po ruchomych blokach i piargach poczem kilka m w pr. pod kruchą, świeżo oberwaną ściankę i znów w l. na wielki skalisto-piarżysty taras. Nim w l. prawie do końca, poczem w górę na ścianę i łatwym terenem na małą platformę, z której w pr. poza załom skalny na łatwy teren i nim w l. do dość wyraźnej rynny. Rynną tą wprost w górę a potem w pr. na platformy, piargi i półki środkowej, połogiej części ściany[2]).

Stąd wprost wgórę owemi półkami i ściankami, coraz trudniej, po kilkudziesięciu m (pod koniec nieco trudno) do stóp litej, z potężnych płyt zbudowanej górnej części pn. ściany.

Na l. od jej środka ciągnie się wyraźny komin, u spodu którego, nieco na pr. od niego, znajduje się głęboka nyża, a jeszcze na pr. od niej wyraźna biała plama po świeżo oberwanych skałach. U początku komina (na l. od niego olbrzymia, pionowa, gładka płyta) znajduje się wielka piarżysta platforma. Z niej[3]) dnem b. głębokiego i ciasnego komina kilka m wprost w górę, poczem przez pr. ściankę w pr. do poprzecznej do komina kilkunastometrowej rynny, poczem w l. do dalszego ciągu komina, który u początku przedstawia się w postaci wąskiej rysy, zamkniętej po obu stronach gładkiemi płytowemi skałami. Rysą kilkanaście m wprost w górę (nadzwyczaj trudno) na stopień, powyżej którego rysa rozszerza się znów w komin. Nim w górę, a pod koniec nieco w l. tuż koło wielkiej przewieszki (b. trudno) na platforemkę ponad kominem. Jakby w przedłużeniu komina biegnie ukosem w pr. rodzaj skalistej rynny, mającej po kilkunastu m charakter półki. Doszedłszy do jej końca wprost w górę przez parometrową ściankę (b. trudno) na rodzaj półki[4]). Stąd w pr. głęboką rozpadliną a potem rynienką z blokami na dużą platformę, położoną u stóp litej i gładkiej ściany. Stąd z pr. brzegu platformy, na odpęknięty blok i z jego czubka w l. do głębokiego pęknięcia w płytowych skałach. Niem w górę ukosem w l., poczem z pomocą odpękniętych bloków (hak) trawers ok. 6 m w l. do załamania się ściany (hak). Stąd efektownem przesunięciem się po gładkiej ściance w l. poza załomem ściany (nadzwyczaj trudno) na platforemkę, z której w górę wielkiemi blokami, a potem półeczkami w l. na żebro skalne (wiedzie niem droga Nr. 876 Przew. J. Ch. i M. Š.) osiągając je tuż pod sterczącą z niego nakształt iglicy charakterystyczną turniczką. Teraz tylko kilkanaście m na pr. od owej

[1]) Urywek poniższego opisu — ostatnie słowa zapisane przez W. Stanisławskiego — znaleziono przy Zmarłym pod ścianą Kościółka. (RED).

[2]) Do tego miejsca doszli już Z. Korosadowicz i A. Uznański, dnia 26 lipca 1932 r., podczas swej próby I. prz. całości opisywanej drogi (RED.)

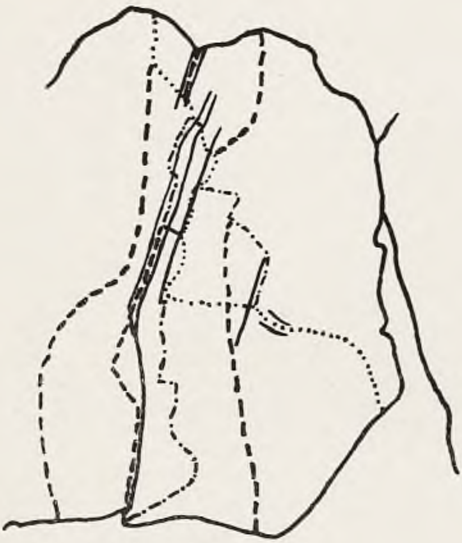
[3]) Poczynając od tego miejsca jest droga poniżej opisana aż do punktu oznaczonego:

[4]) zgodna z warjantem R. Kordysa i A. Znamięckiego z dnia 13 sierpnia 1909 r. (por. „Taternika" z 1910 r. str. 21—22). (RED.)

iglicy (tylko ten odcinek drogi jest mniejwięcej identyczny z drogą Nr. 876) poczem silnie w pr. na krawędź żeberka, które ogranicza z l. strony lite urwisko pn. ściany. Niem kilkanaście m wprost w górę i wkońcu na platformę, ułożoną z wielkich bloków tuż pod spiętrzającą się ku szczytowi ścianą. Z platformy na przyczepioną skośnie do urwiska niewielką, popękaną płytkę i przeszedłszy ją w pr. poza załom skalny na otwartą ścianę. Stąd stopniami i listwami, które wiążą się w jedną całość, wskos w pr. ku górze przez eksponowane, płytowe urwisko po ok. 20 m do miejsca, gdzie okaże się możliwość niezbyt trudnego posuwania się wprost w górę. Po kilku m płytową, pochyłą półką na dobrą omszałą platformę, skąd wskos w pr. po blokach, potem szczeliną między płytową ścianą a blokami, a wkońcu na wąską półeczkę, na którą wchodzi się przez kilkumetrową ściankę (półeczka ta po kilku m w pr. doprowadza do głębokiej lecz krótkiej depresji w ścianie). Z l. brzegu tej półeczki wprost wgórę nieco przewieszoną ścianką (trudno) na bloki i platforemkę, poczem kilka m w pr. i dalej w l na urwistą ściankę którą wprost wgórę, pod koniec trudno, na płytę, z której w pr. niebawem na początek szerokiego piarżysto-skalistego zachodu, (wiedzie on w pr. na grań). Stąd nieco w l. i wprost wgórę, do rynienki i nią dalej wgórę do miejsca, gdzie się przerywa i zaraz powyżej kończy. Teraz kilkanaście m w pr. łatwym terenem i w końcu wprost wgórę przez silnie spękaną płytę na wierzchołek (od wejścia w ścianę 7 godz.).

Droga nadzwyczaj trudna i w górnych partjach eksponowana, należąca do najwspanialszych przejść tatrzańskich.

W. STANISŁAWSKI P. VOGEL



SZKIC SYTUACYJNY DRÓG NA PN. ŚCIANIE JAWOROWEGO SZCZYTU .wg. rys. w Przew. J. Ch. i M. Ś. tom. III. str. 135).

(........ droga pierwotna pn. ścianą (Nr. 876 Przew. J. Ch. i M. Ś.)

—.—.—.— warjanty drogi powyższej (por. „Taternika" z 1910 r., str. 21—22, dalej ustęp petitowy opisu Nr. 876, a wreszcie „Taternika" z 1930 r., str. 40—41).

— — — — — drogi W. Stanisławskiego (i tow.) na pn. ścianie.

JAWOROWY SZCZYT. I. wejście od pn. na przełęcz między wierzchołkami. Podpisani, dnia 16 sierpnia 1932 r.

Z przełęczy pomiędzy obu wierzchołkami Jaworowego Szczytu spada ku pn. żleb, podcinający się u spodu wielkiemi przewieszkami. Od dolnego ujścia żlebu na piargi 60 m wskos w pr. ku górze, a pod koniec wprost w górę (nieco trudno) na skalistą platforemkę, gdzie żleb spiętrza się w urwisko. Stąd bardzo ciasnym kominkiem (b. trudno) kilkanaście m wprost wgórę, pod koniec przez przewieszkę na dość wygodne stopnie skalne. Tu opuszczamy żleb i wychodzimy w l. na ścianę z l. strony komina, i nią 15 m w l. zlekka ku górze, poprzez platformy i stopnie przysypane piargiem. Stąd kilka m w górę pod kilkum ściankę, i przez nią wprost w górę (nadzwyczaj trudno), poczem w l. kilka m b. trudno, na początek w l. skos ku górze biegnącej, z bloków ułożonej półki, i nią po 20 m, na krawędź żebra, które zamyka z l. strony wielkie pochyłe płyty, ciągnące się ku opuszczonemu przez nas żlebowi. Samą krawędzią żebra, a gdy się rozszerzy, z odchyleniem w pr., (miejscami dość trudno), po 50 m zpowrotem na dno głównego żlebu, osiągając go tuż ponad jego dolnemi spasztami. Teraz idziemy już cały czas dnem żlebu aż do jego końca: 60 m nieco trudno, (po drodze małe prożki); 15 m próg (dość trudno, platforma); 15 m próg (trudno, platforma); kilkunasto-metrowy dość trudny prożek, zaklinowane głazy i platforma (od poprzedniej 20 m); nieco w górę i obszedłszy w pr. nowy prożek na nową platformę (15 m); dnem żlebu 10 m pod najwyższy, końcowy próg żlebu i przez niego po

l. stronie (trudno) po 40 m do miejsca, gdzie żleb kończy się. Stąd w l. (jak drogą Nr. 876 Przew. J. Ch. i M. Ś.) do początku krótkiego żlebku, wywodzącego na przełączkę między wierzchołkami. Nim przez zaklinowane bloki, po głazach i piargu, płytowem zacięciem, w jakie żleb przeobraża się na chwilę, i znów przez piargi, bloki i skałki (częściowo przejście dość trudne) na ową przełączkę (od wejścia 5 godz.)

Droga częściowo nadzwyczaj trudna, należąca do najwspanialszych przejść tatrzańskich. W. Stanisławski P. Vogel

JAWOROWY SZCZYT I. wejście pn. ścianą na wsch. (główny) wierzchołek. Podpisany, z J. Staszlem, dnia 7 lipca 1932 r.

Wejście na ścianę znajduje się u wylotu komina, położonego na l. od ujścia żlebu, spadającego z przełęczy między wierzchołkami Jaworowego Szczytu, od którego oddziela go tylko jedno urwiste żebro skalne. Dnem owego komina kilkanaście m w górę, poczem w l. przez ściankę na platformę, w rodzaju żeberka, ograniczającego komin z l. strony. Stąd wprost wgórę, pod koniec z lekkiem odchyleniem w pr. na bloki, skąd po paru m w pr. do małego kominka (dalej w pr. poza żeberkiem ciągnie się główny komin) i nim 6—8 m wgórę na stopień z jego l. strony. Stąd w pr. przez kruche skały i bloki, ponad kominkiem (b. trudno) na łatwe stopnie, któremi w górę pod spiętrzenie się głównego komina w rodzaj mokrego zacięcia. Od jego stóp (piarżysta platforemka) trawers w l. kilkanaście m aż w pobliże załamania się ściany, gdzie ciągnie się wprost w górę, ku przełączce między ścianą a sterczącą w niej turnią (na l.) wąski kominek. Nie wchodząc do niego, kilka m poziomo w pr. po dość skąpych stopniach i parę m wprost wgórę na omszałą półeczkę pod lekko przewieszoną, płytową ścianką. Teraz trawers z powrotem do kominka, lecz nie wchodząc do niego, jego pr. krawędzią kilka m wprost wgórę (nadzwyczaj trudno) na piarżystą, dużą platformę, położoną między ścianą sterczącej z urwiska turni, a właściwą ścianą. Stąd już znacznie łatwiej, z pr. rogu platformy wgórę, niebawem na piarżysty taras położony na krótkim grzbiecie, łączącym maleńki wierzchołek kilkakrotnie już wspomnianej turni, ze ścianą. Stąd cokolwiek w pr. do głębokiego, lecz krótkiego komina, i nim, pod koniec przez małą przewieszkę, na początek piarżysto-skalistego zachodziku, ciągnącego się w pr. aż ku żlebowi, spadającemu z przełęczy między wierzchołkami Jaworowego Szczytu. Nim w pr. kilkanaście m do początku płytowego zacięcia, biegnącego wprost wgórę i przekształcającego się pod koniec w małą załupę, po przejściu której lądujemy znów na piargu. Nim wgórę, całkiem w pobliżu owego żlebu spadającego z przełęczy między wierzchołkami (i tu szeroko rozpłaszczającego się, tak, że można do niego wygodnie zejść) a potem rodzajem skalistego zachodu, uczepionego urwisk właściwej ściany, wprost wgórę, w kierunku ciągnącego się równolegle do żlebu na pr., komina, które to formacje skalne dzieli rodzaj urwistego filara skalnego z piarżystą platformą na wierzchołku. Kominem owym, kilkadziesiąt m wprost wgórę i w pr. na ową platformę, dobrą do asekuracji. Dalszy ciąg owego komina bierze początek dalej na l. we właściwej ścianie, wobec czego wspinamy się rynienką w l. aż do miejsca, gdzie tworzy małą przewieszkę. Od jej stóp w pr. przez płytową ściankę na piarżystą platformę, skąd znów w l., poza odpękniętym blokiem, i dalej po płycie na łatwe stopnie (hak) u początku tej jakby dalszej, lecz znacznie w l. cofniętej części komina, który ciągnie się równolegle do żlebu z l. strony, lecz teraz już w dość znacznej od niego odległości. Pokonawszy podcięty dół komina (nadzwyczaj trudno) w dalszym ciągu nim samym aż pod zaklinowany wielki blok, od stóp którego w pr. przez gładką płytę i blokami grzędy z pr. strony komina wgórę, aby potem znów wrócić na jego dno. Niem z niewielkiemi tylko obejściami, wprost wgórę i poprzez ostatnie spiętrzenie na wygodny taras, gdzie komin kończy się. Z tarasu wprost w górę w kierunku widocznego już wierzchołka, przez płytowe ścianki, niebawem do drogi Nr. 876 Przew J. Ch. i M. Ś. i nią już wkrótce na wierzchołek (od wejścia 10 godz.)

Droga nadzwyczaj trudna, należąca do najwspanialszych przejść ścianami. W. Stanisławski

MAŁY KIEZMARSKI SZCZYT I. wejście środkiem pn. ściany.

I. Dolna część ściany. Podpisani, w dniach 12—13 lipca 1932 r.

Droga wiedzie niemal ściśle w linji spadku wierzchołka, poprzez dolne urwisko pn. ściany, mierzące w tem miejscu ok. 600 m wysokości.

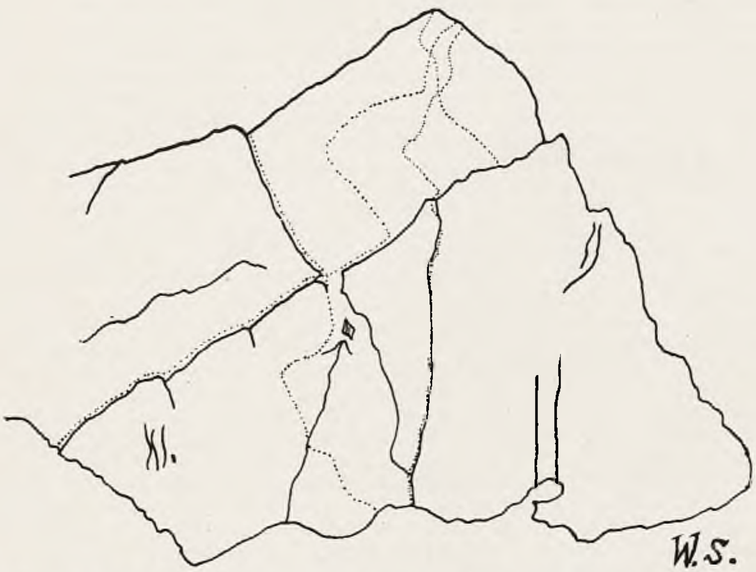
W owo dolne urwisko wrzynają się dwie depresje: pr. i l.[1]) Z l. depresji wybiegają dwa kominy: l., biegnący z odchyleniem w l. wprost do kotła w ścianie (1986 m), oraz pr., wciśnięty poza kulisę skalną, zwarty i lity, biegnący wprost w górę, a dopiero u samej góry zachylający się cokolwiek w pr. i wychodzący pomiędzy dwiema olbrzymiemi turniami kulisy skalnej Niemieckiej Drabiny, na piargi tej ostatniej.

Od Zielonego Stawu Kiezmarskiego po piargach do miejsca, gdzie podchodzą one najwyżej pod l. depresję ściany. Najpierw skałkami a potem przez dość trudną ściankę do kociołka w ścianie, z którego rozchodzą się w l. i w pr. dwa, na wstępie opisane kominy [2]).

[1]) Por. też charakterystykę ściany w „Taterniku" z 1930 r., str. 18 (RED.).

[2]) Do tego miejsca doszli już, dnia 8 lipca 1928 r., J. Leporowski, A. i J. A. Szczepańscy oraz dr. M. Swierz, poczem zaatakowali stąd l. komin (ściślej biorąc, olbrzymie płytowe zacięcie), by wycofać się po 20 m częściowo nadzwyczaj trudnej wspinaczki w kruchej i nadzwyczaj niekorzystnie uwarstwionej skale (RED).

Wszedłszy do pr. z nich, 25 m wprost wgórę popod zaklinowany blok, skąd nieco w pr. do rysy z ruchomemi kamieniami i nią (trudno) po kilku m na nieco łatwiejszy teren, którym wprost w górę, przez płytową ściankę, na dobrą, skalisto-piarżystą platformę. Z niej samem dnem komina, pod koniec wprost poprzez pionowe jego spiętrzenie się (b. trudno), lub nieco łatwiej bardziej od pr. strony, na nową platformę. Stąd dalej kominem popod mokrą przewieszkę, przez którą (nadzwyczaj trudno) wprost w górę i dalej samem dnem na łatwe stopnie. Powyżej komin zwęża się silnie, lecz dzięki mocnym chwytom przejście jego (30 m) jest tylko dość trudne, poczem na l., pod nowem spiętrzeniem się, znajduje się platforma (hak). Z niej dalej wprost wgórę pionową rysą, w jaką komin tutaj się przekształca (b. trudno) na wygodną platformę. Stąd znów kominem 15 m (b. trudno) na jeszcze jedną dobrą platformę. Powyżej komin silnie się rozszerza, a z dna jego wyrastają oślizgłe skały. Wspinając się samem jego dnem, a jedynie tylko ostatnią przewieszkę pokonywując nieco na pr.



OBRAZ DRÓG NA PN. ŚCIANIE MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU

ścianie (hak) po 45 m (niemal bezustannie (20 m) (nadzwyczaj trudno) na wielką piarżystą platformę, położoną pod okapami olbrzymich przewieszek. Komin rozdziela się tu na dwa ramiona, przyczem pr. ramię zaczyna się dopiero tuż nad owym wspomnianym okapem przewieszek. W miejscu, gdzie załamują się one u swej podstawy z płytową ścianą z pr. strony komina, tworzy się rodzaj gładkiej rysy. Z wspomnianej wyżej wielkiej, piarżystej platformy kilka m wprost w górę poprzez płytowe skały ściany z pr. strony, do owej rysy, która tworzy się z załamania się tych skał z przewieszkami ponad nią i rysą w pr. kilka m wprost wgórę, poczem należy przewinąć się w l. (najtrudniejsze miejsce w drodze) ponad przewieszkę, do początku owego pr. rozgałęzienia komina głównego. Ramieniem tem po ruchomych głazach wprost wgórę kilka m pod nowe olbrzymie przewieszki i tuż popod niemi trawers w l. na płytową półkę. Nią w l., nieco się obniżywszy, przez stopień w niej i poza węgieł do l. rozgałęzienia komina. Nie wchodząc jednak na jego dno, dużym krokiem ponad nim na żeberko z l. jego strony i niem 5 m wgórę do dobrego bloku asekuracyjnego, gdzie już żeberko zatraca się. Wobec tego dalej wprost wgórę 5 m już samym owym l kominkiem, do wciśniętego w skały piarżystego stopieńka, gdzie i ten kominek zatraca się w urwisku. Stąd najprzód kilka m w pr. a potem wskos w pr. przez spiętrzone bloki, kierując się ku najwyższemu z nich, sterczącemu w załamaniu się urwiska ku pr. gałęzi komina, teraz znów jedynej. Stanąwszy na owym bloku, 4—5 m poziomo w pr. na dno owego komina (ekspozycja zupełna) i niem (kilka m nadzwyczaj trudno) wprost w górę na wielki taras, przy którym komin, którym szliśmy do tej pory, właściwie kończy się. (Od wejścia w ścianę 14 godzin). Depresja ściany nie kończy się jednak w tem miejscu, lecz powyżej rozszerza się w żleb. Z pr. kąta owego wielkiego tarasu, z pomocą żywej drabiny przy pierwszym kroku, rysą po 5 m do kominka i nim, już łatwo, po kilku m do szerokiego

żlebu. Tym ostatnim przez niewysokie progi i zaklinowane bloki 80 m wprost wgórę (miejscami dość trudno) do kotła w ścianie, z którego rozchodzą się liczne rynny i kominy we wszystkie strony. Najbardziej na l. ciągnącym się kominem 50 m w nieco trudnej wspinaczce na grzbiet krótkiej grzędy, łączącej jedną z turni kulisy skalnej Niemieckiej Drabiny z piargami tej ostatniej. Najlepiej krawędzią owej grzędy wgórę, w stronę górnej części pn. ściany, poczem, gdy otworzy się możliwość zupełnie łatwego zejścia na Niemiecką Drabinę, wdół i przez piarg żlebu pod górną część pn. ściany.

B. Chwaściński W. Ostrowski W. Stanisławski

II, Górna część ściany. Podpisani, dnia 4 sierpnia 1932 r.

Górna część pn. ściany podcina się gładkiemi przewieszkami ponad żlebem Niemieckiej Drabiny. O parę m poniżej miejsca, gdzie te przewieszki się kończą, wejście na ścianę. Gładkiem zacięciem kilka m wprost w górę pod wybitną przewieszkę, którą pokonywamy wbiwszy wysoko nad głową w wąziutką szczelinkę hak. Zponad przewieszki trawers w l. kilkanaście m do krótkiego, u dołu podciętego kominka. Nim kilkanaście m wprost wgórę, do jego końca, na platforemkę. Stąd ukosem w l. ku górze przez półki i stopnie, po 10 m na dużą platformę, z ktorej nieco w dół na niżej położoną drugą platformę. Z l. jej brzegu kilka m wprost wgórę do początku wyraźnej rysy w piętrzącem się płytowem urwisku. Rysą tą w l. (trudno) do maleńkiej nyży, wysłanej mchem. Stojąc w niej, trawersem w l. kilkanaście m (b. trudno) na płytowe stopieńki w otwartej ścianie (hak). Z nich 5 m wprost wgórę (nadzwyczaj trudno), poczem w dalszym ciągu trawersem w l. (z początku b. trudno) pod koniec przez tracące na nachyleniu płyty na niewielką płytową platformę. Z niej wyraźną rysą wprost wgórę (trudno) na początek trawiasto-skalistej, blokami zarzuconej półki i nią w l. niebawem na wygodne skaliste stopnie. Z nich kilka m w dół, poczem poziomo w l. i wgórę, listwami i stopniami skalnemi do dużej, głębokiej nyży. Stąd w l. kilkanaście m. poza węgieł i stromą ścianką a potem głęboką, wąską szczeliną wprost wgórę na wielki, piarżysty taras w ścianie. Z pr. jego brzegu wcina się w lite urwisko wyraźny żlebek. Nim wprost wgórę ok. 60 m (łatwo) a gdy się skończy jeszcze ok. 10 m wygodnym zachodzikiem w pr. do głębokiej depresji w ścianie nad nami. U jej początku leży olbrzymi blok, wrośnięty w podłoże. Przeszedłszy po l. jego stronie, jeszcze kilka m w dotychczasowym kierunku, poczem w pr. na trawiasto-skalisty stok, położony na pr. od głębokiego komina. Stokiem tym wprost w górę. Staje się on coraz stromszy i coraz bardziej skalisty, a w końcu przez urwistą ściankę (dość trudno) wyprowadza do trawiasto-skalistej rynny, którą wprost wgórę. Niebawem rynna zatraca się, wobec czego w tym samym kierunku wgórę, łatwym trawiasto-skalistym stokiem na wielki piarżysty taras położony u szczytu żebra, ograniczającego od pr. strony właściwe urwisko pn. ściany (tu łączymy się na moment z drogą zach. częścią pn. ściany, opisaną w „Taterniku" z 1930 r., str. 19—20; z owego piarżystego tarasu droga ta biegnie dalej całkiem w pr. półkami ku pn. zach. grani). Stąd wprost w górę stopniami skalnemi i po blokach na nową platformę (30 m) skąd w l. kilkanaście m i znów wprost wgórę wysokiemi ściankami i blokami, w których tworzą się krótkie kominki i rysy, do rozszerzającej się w pr. depresji w ścianie. Nią wgórę z odchyleniem w l., przez spiętrzone bloki na rodzaj szerokiego zachodu, utworzonego z ruchomych bloków. Nim w l. ku górze aż w pobliże jego końca, poczem w pr. na ścianę, tam gdzie widać wąski, krótki kominek utworzony między ścianą (na l.) a odpękniętym blokiem (na pr.). Nim w górę niebawem na platformę zbudowaną z bloków (na l. sterczy z niej charakterystyczny blok). Teraz wskos w pr. ku górze kostkowemi blokami na nową platformę, a z niej dalej w pr. przez kilkumetrową ściankę na jeszcze jedną platformę. Nią trawers w pr. po blokach i głazach. Platforma przekształca się w półkę i tam, gdzie ta półka silnie się zwęża, w l. na ścianę i niemal pionowo wprost wgórę ściankami i blokami poczem z odchyleniem w pr. na podłużną, dwustopniową platformę, położoną pod spiętrzającem się nad nami płytowem, litem urwiskiem. Z owej platformy w l. wgórę, przez bloki na nową, z głazów zbudowaną platformę. Stąd trawers w l., poza węgieł ściany, znów na platformę, na której stoi nakształt turniczki odpęknięty blok. Z jego czubka krokiem w l. na rodzaj urwistego żeberka (trudno), poczem dalej w l. do depresji, której dnem, wysokiemi ściankami i blokami, wprost wgórę na łagodniejący teren. Zaraz po kilku m na przewieszkę z zaklinowanego bloku (b trudno) albo znacznie łatwiej od pr. strony, poczem blokami, stopniami, rysami i półkami wprost wgórę ze stałem odchyleniem w pr. Z l. strony ciągnie się żebro najeżone fantastycznemi turniczkami i igłami skalnemi. Wspinamy się równolegle do owego żebra, a gdy zacznie ono tracić na swej urwistości, bierzemy się jeszcze bardziej w pr., aby podsunąć się pod ściankę szczytową, pociętą rozmaitemi formacjami skalnemi, lecz dość urwistą. Przez nią najlepiej wprost na wierzchołek w linji jego spadku (8 godz).

W. Stanisławski P. Vogel

Całość drogi środkiem pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu stanowi wyprawę nadzwyczaj trudną, najtrudniejszą w Tatrach, częściowo zupełnie eksponowaną, najdłuższą, najbardziej urozmaiconą i efektowną, pod każdym względem najwspanialszą.

Z TATR

Kronika zimowa 1932/3 r.

Mała Buczynowa Turnia. IV. w. z. (II. w. z. od pd.) — Krzyżne. Z. z. ku pd.: H. Szulcowa i W. Birkenmajer, 31 grudnia.

Wołoszyn. I. prz. z. pn.-wsch. grani: W. Paryski i T. Pawłowski, 31 grudnia.

Dziad. I? w. z.: L. Berych i W. Paryski, 20 grudnia.

Miedziane. I. w. z. wprost z Dol. Pięciu Stawów Polskich: S. Motyka i W. Stanisławski, 20 kwietnia.

Rysy. Prz. z. z pn ku pd.: E. Ziętkiewiczowa i S. Daszyński, 28 marca.

Niżnie Rysy. Próba I. w. z. pn.-zach. ścianą: S. Groński, w lutym.

Złomiska Turnia. W. z.: trzech turystów czeskich, 5 stycznia.

Wsch. Rumanowa Przełęcz. I z. z. ku pd.: S. Groński, 17 kwietnia.

Galerja Gankowa. I. w. z. wprost z Dol. Kaczej*: W. Birkenmajer i S. Groński, 14—16 kwietnia. — I z. z. na Wsch. Rumanową Przełęcz*: S. Groński, 17 kwietnia — I. w. z. z Dol. Rumanowej przez Wsch. Rumanową Przełęcz (II. w. z.): H. Bednarski i J. Oppenheim z S. Byrcynem, S. Gąsienicą, A. Krzeptowskim, A. i S. Marusarzami, S. Rojem, J. Stopką, J. i J. Tomkowymi, oraz A., J. i W. Wawrytkami, 20 kwietnia.

Igła w Osterwie. IV. w. z.: F Böckl i J Bräth, 20 marca.

Litworowa Przełęcz. IV. prz. z. drogi od zach. — Litworowy Szczyt. VIII? w. z.: W. Birkenmajer i J Żakiewicz, 29 grudnia

Jaworowy Szczyt. I. w. z. pn. ścianą*: Z. Korosadowicz i J. Staszel, 5—7 stycznia.

Ostry Szczyt. III w. z.* (w. wsch., z. zach. granią): Z. Kunsch i H. Wanka, 18—19 grudnia.

Zbójnicka Ławka. II prz. z.: Z. Korosadowicz i J. Staszel, 7 stycznia

Dzika Przełęcz[1]) I w. z. (od wsch.): Birke, Kliefoth, Krause i Schückert z J. Brathem, 9 marca.

Barani Zwornik. II. w. z. pn.-wsch. granią: J. Bethlenfalvy, B. Duchon, M. Nitsch i K. Schinke, 27 marca.

Łomnica. XI. w. z.: Lamplota i Nadelfest, 29 grudnia. III. w. z. od pn. przez Niemiecką Drabinę (III. prz. z.) i Miedziane Ławki (IV. prz. z.)*: B. Duchon i dr. S. K. Zaremba, 3—4 stycznia [poprzedzone dojściem F. Kesslerówny, T. Grescha, W. Juran'ia i J. Petényi'ego, 2—3 stycznia, tąż samą drogą aż pod Miedzianą Przełączkę[2])].

Huncowski Szczyt. W. z. — Kiezmarski Szczyt. VI? w. z : J. Bethlenfalvy i G. Maurer, 19 marca.

Mały Kiezmarski Szczyt. I. w. z. pn. ścianą (III. całkowite jej prz.) i I. z. z. pn. ścianą*: Z. Korosadowicz i J. Staszel, 13—15 kwietnia.

Przełęcz Stolarczyka. I. prz. z.: dr. S. K. Zaremba, 31 grudnia.

Czarny Szczyt. III. w. z. (II. w. z. od wsch.): B. Duchon, M. Nitsch i G. Simon, 26 kwietnia

Kołowy Szczyt. III. w. z.*: J. Bethlenfalvy i G. Kegel, 26 marca.

Jagnięcy Szczyt. W. z. od Przełęczy pod Kopą: Gerda Baum, B. Duchon, A. Fritz, M Nitsch i H. Retzlaff, 9 marca. — II. w. z. od Koziej Turni: F. Bockl i B. Duchon, 17 marca.

Jastrzębia Turnia. III. w. z. zwyczajną drogą: Inez Kesselbauer i B. Duchon, 2 stycznia

Pozatem — jak zwykle — zwiedzano takie przełęcze jak Zawrat (kilkadziesiąt razy!), Wrota Chałubińskiego, Polski Grzebień i i., i także szczyty jak Świnicę, Krywań, Małą Wysoką, Świstowy Szczyt, Mały Lodowy Szczyt, Baranie Rogi, Jastrzębią Turnię, Jagnięcy Szczyt

Wypadek na Kościółku.

Okoliczności śmiertelnego wypadku W. Stanisławskiego i W. Wojnara na Kościółku, w dniu 4 sierpnia b. r., nie są znane i nigdy dokładnie poznane nie będą. Snuto przypuszczenia, że wypadek spowodował spadek kamieni z góry, który niespodziewanie ugodził

[1]) Nazwę tę nadajemy wybitnej, najniższej przełęczy pomiędzy Dziką Turnią (pn. wierzchołkiem) a Świstowym Szczytem. Z Dol. Staroleśnej osiągnął ją latem pierwszy I. Laufer, dnia 20 sierpnia 1908 r. (por. „Przewodnik po Tatrach“ J. Chmielowskiego, tom. IV., str 28).

[2]) W związku z notatką na temat tej wycieczki (por. „Taternika“ z b. r., str. 41—4?) zaczepił nas (w „Krzesanicy“ z czerwca 1933 r., str. 55) p. dr. S. K. Zaremba, zarzucając nam różne błahe nieścisłości, i przedewszystkiem twierdząc, że osoby, które ową wycieczkę podjęły nie były „niedoświadczonymi turystami“ (jak napisaliśmy) lecz „taternikami, którzy dotąd nie chodzili w zimie“. Cytujemy zatem źródłowy „Karpathen-Post“ (nr. z dnia 14 stycznia 1933 r.): „Die Gesellschaft war aber ungenügend ausgerüstet, ohne Steigeisen, mit wenig Eispickeln und nur einem Seil“. Otóż powinno być jasne każdemu, że kto na Łomnicę od pn. wybiera się w styczniu bez raków i z niedostateczną ilością czekanów, jest właśnie nie taternikiem, lecz niedoświadczonym turystą.

jednego z taterników, wyważył go z jego pozycji i spowodował nagły upadek obydwu z wys. ok 80 m. Wydaje się też dość prawdopodobne, że wypadek zaskoczył w szczególności W. Stanisławskiego, a to w chwili, gdy był zajęty zdejmowaniem butów celem zamiany ich na trzewiczki. Jak już jednak powiedzieliśmy — okoliczności katastrofy na Kościółku nigdy nie będą wyświetlone definitywnie.

Na wiadomość o tragicznej śmierci W. Stanisławskiego — Redakcja „Taternika" zwróciła się bezpośrednio do warszawskich przyjaciół Zmarłego — w szczególności do pp. B. Chwaścińskiego i J. Wojsznisa — z prośbą o zestawienie taternickiej puścizny Zmarłego i wszechstronne oświetlenie jego roli w taternictwie na łamach „Taternika". Wyniki ich pracy przedkładamy czytelnikom w bież. zeszycie. Redakcja „Taternika" poczuwa się do miłego obowiązku złożenia im na tem miejscu serdecznego podziękowania.

Wypadek na Żłobistej Przełączce.

Głośnem echem odbił się w całej Polsce wypadek, jaki w dniu 11 lipca b. r. wydarzył się w pn. urwisku Żłobistej Przełączki. Czwórka niedoświadczonych turystów, ale dobrych sportowców, zamierzała dnia tego przejść przez Żelazne Wrota. Zabłądziwszy jednak gruntownie w Dol. Złomisk, turyści wydostali się na Żłobistą Przełączkę (!). Dwoje z nich, zorjentowawszy się w omyłce, zawróciło; jednakże druga dwójka, słuchacze uniw. w Krakowie Jadwiga Perausówna i Władysław Tomek, postanowili mimo wszystko schodzić wprost do Dol. Kaczej. Teren (por. „Taternika" z 1932 r., str. 64—65) ze stosunkowo łatwego zmieniał się w coraz bardziej trudny, pomimo tego, i pomimo rad towarzyszki, Tomek zdecydował się raczej zginąć niż cofnąć. Wkrótce znalazł kopczyk z biletem zdobywców drogi z 1931 r. Ten fakt jeszcze bardziej go ośmielił, ponieważ, jego zdaniem, oznaczał uczęszczanie tej drogi. Nieco niżej — zapewne przy trawersie na płycie, stanowiącym najtrudniejsze miejsce drogi — Tomek odpadł od skały, i sto m niżej znalazł śmierć na śniegu i piargach pn. żlebu Zach. Żelaznych Wrót. Towarzyszkę jego — po trzech dobach skomplikowanej akcji ratowniczej — sprowadzono zdrową i całą. Tak, jak Tomkowi wyrobienie sportowe ułatwiło samobójczą decyzję schodzenie za wszelką cenę, — podobnie Perausównie sprawność fizyczna umożliwiła przetrzymanie rozpaczliwego oczekiwania pomocy i wszelkich perypetyj ratowniczych. Zwracamy jednak uwagę na absolutny brak najbardziej elementarnych wiadomości z zakresu taternictwa, jaki cechuje wielu zresztą dzielnych sportowców. Rozumieją oni, że kto chce odbywać wycieczki narciarskie, musi umieć jeździć na nartach, a kto chce grać w piłkę nożną, musi znać reguły meczu. Tylko po Tatrach wolno się błąkać bezkarnie, nie znając podstawowych zasad racjonalnej turystyki wysokogórskiej..

SPRAWY SEKCJI

XXIV. Zwyczajne Walne Zgrom. Członków Sekcji Turystycznej P.T.T.

odbyło się dnia 13 sierpnia 1933 r. w sali Państw. Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. Na Zgromadzeniu było obecnych 24 członków Sekcji, oraz 13 gości. Przewodniczył prezes Dr. K. Piotrowski, protokołował sekretarz Inż. J. Kiełpiński.

Wobec braku statutem wymaganego quorum w terminie pierwszym, Przewodniczący otwiera Zgromadzenie w terminie drugim o godz. 10 45, witając zebranych gości i członków Sekcji. Z kolei — po jednomyślnie przyjętym wniosku p. mjr. B. Romaniszyna, aby nie odczytywać sprawozdania z XXIII Walnego Zgromadzenia, ponieważ zostało już ogłoszone drukiem w „Taterniku" — składa Prezes sprawozdanie z działalności Zarządu za okres 1932/33 r, w dłuższem przemówieniu poświęcając na wstępie słowa wspomnienia zmarłym w okresie sprawozdawczym członkom Sekcji, ś. p. Prof. W. Birkenmajerowi, Inż. L. Chałubińskiemu, Pułk. J. Dłużniakiewiczowi i W. Stanisławskiemu, jak również ś. p. T. Bośniackiemu, członkowi STAZS w Krakowie. Zebrani uczcili pamięć Zmarłych przez powstanie.

Wybrany na poprzedniem Walnem Zgromadzeniu Zarząd Sekcji ukonstytuował się, i przez cały okres sprawozdawczy urzędował bez zmiany w składzie następującym: Prezes Dr. Kazimierz Piotrowski, Wiceprezes Dr. Jan Kazimierz Dorawski, Sekretarz Inż. Jan Kiełpiński, Skarbnik Bohdan Małachowski, Bibljotekarz Zbigniew Korosadowicz, Członkowie: Bolesław Chwaściński, Dr. Ludwik Gorski, Dr. Adam Sokołowski, Red. Jan Alfred Szczepański. Zarząd odbył 10 posiedzeń plenarnych i szereg komisyjnych. Komisję Rewizyjną składali pp. Prof. Dr. Walery Goetel, Prof Dr. Jerzy Lande i Mjr. Bronisław Romaniszyn. Komisja przeprowadziła rewizję ksiąg i alegatów kasowych. W roku sprawozdawczym ubyło 4 członków, przybyło 7 nowych, obecnie zatem liczy Sekcja 135 członków, w tem 14 honorowych i 2 dożywotnich.

Życie wewnętrzno-klubowe Sekcji w środowisku krakowskiem było w roku sprawozdawczym z różnych przyczyn nieco słabsze. W szczególności urządzono jeden tylko wieczór dyskusyjny z referatem p. B Małachowskiego na aktualny temat „Profesjonalizm i poł profesjonalizm w taternictwie". Projekty dalszych wieczorów dyskusyjnych rozbiły się o brak chętnych referentów. Natomiast przyczyniła się Sekcja do urządzenia publicznego odczytu sławnego alpinisty P. Bauera o wyprawach na Kańczendzengę, pozatem Prezydjum Sekcji wzięło udział w przyjęciu tegoż alpinisty przez Zarząd Główny P. T. T.

W sezonie wiosennym fatalna, stała niepogoda udaremniła urządzanie tradycyjnych wycieczek w skałki podkrakowskie. Odbyła się tylko jedna taka wycieczka, zresztą o małej frekwencji.

Główne staranie poświęcał Zarząd działowi wydawnictw oraz ekspansji na zewnątrz. „Taternika" redagował nadal p J. A. Szczepański i na karb jego zasług policzyć należy utrzymanie pisma na dotychczasowym wysokim poziomie, oraz wprowadzenie do pisma wielu nowych piór. Niestety 5—6 zeszyt pisma z r. 1932 ukazał się z wielkiem opóźnieniem. Spowodowały je wyłącznie okoliczności zewnętrzne, od redakcji i wydawnictwa niezależne. Jeżeli rozważymy te trudności oraz fakt, że sprawa wydawnictwa ku czci ś. p. M. Świerza ciągnęła się od 3 lat zgórą, musimy poczytać red. J. A. Szczepańskiemu za wielki sukces doprowadzenie do skutku tego wydawnictwa i wypełnienie w ten sposób moralnego obowiązku i długu, zaciągniętego wobec Zmarłego Wspomnieć tutaj należy, że rocznik XVI „Taternika" zawiera 156 stron, jest zatem największym od chwili powstania pisma.

W roku bieżącym Zarząd Sekcji przeniósł druk pisma do innej drukarni. Przyczyną tego były wyłącznie względy finansowe i konieczność wyrównania dawnych niedoborów wydawnictwa. Obecny Zarząd odziedziczył bowiem po poprzednich dług w wysokości 1700 zł., który w ciągu 2 lat zdołał zmniejszyć tylko do 1200 zł. Zlikwidowanie tego długu przy pozostawieniu pisma w drogiej drukarni Anczyca, było niemożliwe. Dlatego poszukaliśmy drukarni tańszej — drukarnia „Powściągliwość i Praca" dała ofertę niemal o 40% niższą, $1\frac{1}{2}$ arkuszowy zeszyt kosztuje 380 złotych zamiast 600 złotych. Trzeba też przyznać, że choć typograficzny wygląd pisma uległ pewnemu obniżeniu — jest ono jednak naogół niewielkie i zrekompensowane efektem finansowym. Dzięki bowiem tej decyzji już w tej chwili cały nasz dług za „Taternika" został spłacony. W następstwie zaś będzie można poświęcać więcej uwagi ilustracjom, co już częściowo wprowadza się w czyn.

Ekspansja zewnętrzna Sekcji ma do zanotowania dwa główne fakty: II. wyprawę alpinistyczną, oraz udział w Kongresie alpinistycznym w Chamonix. Obie te imprezy, przygotowane jeszcze w poprzednim okresie, przypadły do wykonania w obecnym i odbyły się z pełnym sukcesem górskim i propagandowym. Wobec ogłoszenia już w „Taterniku" szczegółowych sprawozdań tak z wyprawy, jak z Kongresu, możemy obecnie ograniczyć się do tej tylko wzmianki. Zarząd powziął postanowienie nie urządzania już oficjalnych wypraw w Alpy, odstępując je inicjatywie prywatnej, której chciał udzielić swego pełnego poparcia. Postanowienie to było ogłoszone w „Taterniku" nie wywołało jednak żadnego efektu, co przypisać należy nader ciężkim warunkom gospodarczym, odstraszającym wielu chętnych i godnych od inicjatywy wyjazdu alpejskiego.

Zarząd zajmował się przez dłuższy czas propozycją p. Dr. K. Narkiewicza - Jodki przystąpienia już w r. b. do organizacji przez Klub Wysokogórski przy pomocy Ligi Morskiej i Kolonjalnej wyprawy w Andy i w góry Sierra do Mar w Brazylji. Zarząd odniósł się do tej propozycji przychylnie, postawił jednak kilka zasadniczych warunków, od których uzależnił swój udział w finansowaniu i organizowaniu wyprawy. A mianowicie: 1) Głównym celem wyprawy będą Andy, natomiast góry Sierra do Mar celem ubocznym. 2) Wyprawa odbędzie się w lecie pd. półkuli t. zn. w okresie grudzień — luty. 3) Ilość członków wyprawy wyniesie 6 osób. 4) Zarząd będzie miał wpływ na mianowanie jednego (szóstego) członka wyprawy. Pięciu bowiem było desygnowanych zgóry przez projektodawcę. Po długich pertraktacjach, trwających od stycznia do czerwca, p. Dr. Narkiewicz zerwał rokowania, nie godząc się na punkty 1 i 4 naszych warunków i zwrócił się — jako pełnomocnik Ligi M. i K. — wprost do Polskiego Tow. Tatrzańskiego z propozycją udziału w organizowanej przez Ligę wyprawie. Z tą chwilą Zarząd Sekcji zgłosił swoje desinteressement i oświadczył, że jako taki w organizacji wyprawy udziału nie bierze. Wyrażamy żal, że mimo tak skromnych i uzasadnionych żądań naszych nie doszliśmy do porozumienia.

Uchwalona na poprzedniem Wal. Zebr. zmiana statutu i fuzja z S. T. A. Z. S. w Krakowie oraz z Kołem Wysokogórskiem w Warszawie nie weszła dotąd w życie. Przyczyna tego leży całkowicie poza nami. Jest nią utknięcie na martwym punkcie zmiany statutu całego P. T. T., od czego wprost uzależnione jest wejście w życie naszego nowego statutu. Reprezentanci Sekcji w Zarządzie Gł. P. T. T. przemawiali w doraźnych dyskusjach i głosowali za jaknajszybszem załatwieniem sprawy statutu P. T. T. i jest nadzieja, że w ciągu r. b. wreszcie ta sprawa zostanie pomyślnie ukończona. Z definitywnem dokonaniem fuzji musimy — niestety — czekać do tego momentu.

Przedmiotem starań Zarządu była ostatnio również sprawa zorganizowania odpowiedniej poradni lekarskiej dla taterników. Na skutek porozumienia z doc. U. J., p. D-rem A. Oszackim, prymarjuszem Oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu św. Łazarza w Krakowie — założenie takiej poradni, pomyślanej zarazem jako placówka naukowa w typie centrum badań lotniczo-lekarskich w Warszawie — jest już bliskie realizacji. Znajdą w niej zastosowanie najnowsze środki badań, m. i. najnowocześniejszy w Polsce, a stojący do dyspozycji p. D-ra Oszackiego, elektrokardjograf — odbywać się też będą badania funkcjonalne wymiany gazów i t. p. Zakupno niektórych potrzebnych instrumentów przekroczyłoby możliwości finansowe Sekcji, wszczęto zatem kroki porozumiewawcze o wypożyczanie ich z lektoratu Wychowania fizycznego U. J., oraz z okręgowego urzędu W. F. i P. W. Wyjaśniamy, że wyniki badań obowiązywać będzie absolutna dyskrecja, z wyjątkiem badań członków projektowanych oficjalnych wypraw Sekcji, którzy będą się musieli obowiązkowo i z ramienia Sekcji, poddać owym badaniom.

Kończąc to sprawozdanie należy, wreszcie podkreślić niezmierną życzliwość i poparcie, jakie nas spotyka tak ze strony Zarządu Głównego PTT, jak i poszczególnych Oddziałów, z których na pierwszem miejscu wymienić należy Oddział Krakowski, udzielający nam znacznych subwencyj i dający nam do dyspozycji swój lokal. Składając zato swe podziękowanie tak Zarządom jak i tym członkom Sekcji, którzy nam to poparcie wyrabiają — wyrażamy nadzieję, że ten wzajemny stosunek i w przyszłości nie ulegnie zmianie.

Z kolei odczytuje skarbnik, B. Małachowski, sprawozdanie finansowe Sekcji za rok 1932, które wykazuje:

DOCHODY		
Saldo z 1931 r. w kasie	99·93	
w Adm. „Taternika“	29·07	
w P. K. O.	363·10	
w Banku Gosp. Kraj.	1024·17	1516·27
Wkładki		650·—
Wpisowe		15·—
Odznaki		10·—
Sprzedaż wydawnictw		254·65
Zwrot z adm. lwow. „Taternika“		300·—
Subwencje: na „Taternika“	4400·—	
na fundusz alpin.	3985·—	8385·—
Zwroty pożyczek i z Kom. Alp.		1017·42
Pożyczka od Oddz. Krak. PTT. na fund. alp.		1500·—
Odsetki i różne		11·78
		13660.12

ROZCHODY		
„Taternik“: druk	3500·—	
klisze	147·10	
redakcja i adm.	528.91	4176.01
Administracja i lokal		473·81
Bibljoteka		95·10
Wyprawa alpejska		3072·09
Pożyczki alpejskie		2537·95
Zwrot pożyczki O. Krak. PTT		500·—
Wydatki reprezentacyjne		165·—
Saldo na r. 1933: fundusze	1740·59	
saldo kasowe	899·57	2640·16
		13660·12

W dyskusji nad sprawozdaniem Zarządu zabrali głos pp. B. Małachowski, Dr. M. Sokołowski i Mg. T. Bernadzikiewicz. P. Dr. Z. Klemensiewicz zapytał o bliższe szczegóły rokowań w sprawie wyprawy w Andy. W odpowiedzi Prof. Dr. W. Goetel przedstawił stanowisko Zarządu Głównego PTT., który pomimo nieobecności Sekcji wśród organizatorów wyprawy, przeznaczył na jej cele 5000 zł., p. Inż. J. Kiełpiński objaśnił dokładniej stanowisko Zarządu. W ożywionej dyskusji, jaka się następnie rozwinęła na ten temat, przemawiali w dalszym ciągu pp. W. Ostrowski, Dr. J. K. Dorawski, B. Małachowski i Mg. T. Bernadzikiewicz, nakoniec uchwalono jednogłośnie wniosek P. Prof. Dr. W. Goetla, aby przyjąć dotychczasowe stanowisko Zarządu w sprawie wyprawy P. D-ra K. Narkiewicza-Jodki w Andy do zatwierdzającej wiadomości, i równocześnie poruczyć mu dalsze rozważenie możliwości wzięcia przez Sekcję udziału w powyższej wyprawie.

Po ogólnem zamknięciu dyskusji, P. Prof. Dr. W. Goetel w imieniu Komisji Rewizyjnej oświadczył: „Komisja Rewizyjna Sekcji Turystycznej PTT. — w składzie: Prof. J. Lande i Prof. Dr. W. Goetel — przeprowadziła rewizję ksiąg rachunkowych, dochodów kasowych i alegatów, przedstawionych przez buchaltera Sekcji, p. W. Paryskiego, przeprowadziła również próbne badania kwitów i alegatów i znalazła wszystkie księgi i alegaty w całkowitym porządku, oraz stwierdziła wzorowe prowadzenie rachunkowości“. Wobec czego mowca stawia wniosek o udzielenie ustępującemu Zarządowi absolutorjum. P. Mg. T. Bernadzikiewicz uzupełnia powyższy wniosek, wnosząc o udzielenie ustępującemu Zarządowi absolutorjum wraz z podziękowaniem, za pracę dla dobra Sekcji. Wniosek jednogłośnie uchwalono.

Z kolei przystąpiono do czwartego punktu porządku obrad. Preliminarz budżetu na rok 1934 referuje wiceprezes Dr. J. K. Dorawski. Przedstawia się on następująco:

DOCHODY		ROZCHODY	
Saldo z prelim. na r. 1933	293 63	Administracja i lokal	500·–
Wpisowe, wkładki, odznaki	700·–	Druk i klisze „Taternika"	3500·—
Sprzedaż wydawnictw	250·—	Redakcja i Administr. „Tat"	500·
Subwencje:		Bibljoteka	300·—
na „Taternika"	3500·—	Przelew do fund. im. Swierza	3600·–
na fund. im. Swierza	3000· –	Saldo	250·—
Zwroty pożyczek	800·–		
Odsetki i różne	106·37		
Razem	8650 – zł.	Razem	8650 — zł.

Powyższy preliminarz budżetu Walne Zgromadzenie uchwaliło jednogłośnie.

Przewodniczący zarządza 5-minutową przerwę. Po przerwie, na wniosek p. B. Małachowskiego wybrano nowy Zarząd w następującym składzie: Dr. K. Piotrowski jako Prezes Sekcji przez aklamację, Dr J. K Dorawski jako wiceprezes przez aklamację, członkowie Zarządu: B. Chwaściński, Dr. L. Gorski, Inż. J. Kiełpiński, Dr. A. Sokołowski i Red. J. A. Szczepański, zastępcy członków zarządu: Dr. K. Sinkówna i Z. Korosadowicz, Komisja Rewizyjna: Prof. Dr. W. Goetel, Prof. J. Lande i Mjr B. Romaniszyn — jednogłośnie.

Przewodniczący przedstawia wniosek Zarządu o zamianowanie P. Prof. D-ra W. Goetla Członkiem Honorowym Sekcji. Wniosek uchwalono przez aklamację.

Jednogłośnie uchwalono wspólny wniosek pp. B. Małachowskiego i D-ra M. Sokołowskiego, aby wyłonić komisję, któraby się zajęła doprowadzeniem do skutku wydania podręcznika p. n. „Taternictwo Zimowe". Równocześnie na przewodniczącego tej komisji wybrano Prof. D-ra Z. Klemensiewicza, na jej członków Prof D-ra W. Goetla i jednego przedstawiciela nowego Zarządu.

Przewodniczący przedstawia Zebraniu imieniem Zarządu projekt utworzenia Stypendjum im. Wincentego Birkenmajera, złożonego z sum ofiarowanych przez dwu ofiarodawców, którzy nie życzą sobie ujawnienia ich nazwisk. Po dyskusji, w której zabierali głos pp. Dr. S. K. Zaremba, J. Roguska-Cybulska, Dr M. Sokołowski i Prof. Dr. Z. Klemensiewicz przyjęto jednogłośnie wniosek P. Prof. D-ra W. Goetla, aby w porozumieniu z ofiarodawcami przeznaczyć ten fundusz na cele taternickie, nie związane jednak bezpośrednio z indywidualnem chodzeniem po górach.

Uchwalono jednogłośnie wniosek P. W. Ostrowskiego, aby wydrukować w „Taterniku" listę członków Klubu Wysokogórskiego, i rozesłać ją dzierżawcom schronisk, w których członkowie Klubu mają przyznane zniżki.

Prof. Dr. M. Sokołowski w dłuższem przemówieniu przedstawił przyczyny ostatnich wypadków w Tatrach, przypisując je niektórym objawom niewłaściwym, panoszącym się we współczesnem taternictwie. Dr. Sokołowski wzywa też sfery kierownicze Sekcji do przeciwstawienia się tym objawom. W wyniku dyskusji zwrócono się do P. D-ra Sokołowskiego z prośbą o powtórzenie swoich uwag na łamach „Taternika".

Na tem przewodniczący Dr. K. Piotrowski zamknął zebranie o godz 14·20, dziękując obecnym za przybycie, oraz oświadczając, że z powodu żałoby jaką okryła taternictwo polskie świeża śmierć ś. p W. Stanisławskiego, projektowany wspólny wieczór towarzyski oraz zapowiedziana tradycyjna wycieczka klubowa — nie odbędą się.

Sekretarz: Inż. Jan Kiełpiński m. p.

Prezes: Dr. Kazimierz Piotrowski m. p.

Nowi członkowie i zgłoszenia członków.

Pp. Dr. Krystyna Sinkówna (Kraków) i Jadwiga Zbyszewska (Katowice), oraz prof. Paweł Vogel (Ostrowiec Kielecki) zostali przyjęci w poczet członków Sekcji. — Pp. Zdzisław Dąbrowski (Warszawa) i Alfred Szczepański (Kraków) wnieśli podanie o przyjęcie w poczet członków Sekcji.

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Everest pozostał niezdobyty! Jak było do przewidzenia, pierwsze dziennikarskie wiadomości o angielskiej wyprawie na Everest w 1933 r. (por. „Taternika" z b. r., str. 86) roiły się od nieścisłości. Jeszcze i teraz nie posiadamy wyczerpującego sprawozdania, złożonego przez samych uczestników wyprawy. W każdym jednak razie możemy już podać tyle: pogoda była Anglikom stanowczo nieprzyjazna, monsum w b. r. nadciągnął o wiele wcześniej niż zazwyczaj. Najwyższy obóz założono — z ogromnemi trudnościami — na wys. 8320 m, skąd też wykonano dwa główne ataki. Najpierw, z końcem maja, W. Harris i W. Wager doszli drogą Nortona z 1924 r. mniejwięcej do wys. 8550 m, znajdując po drodze czekan (Mallory'ego?), poczem zawrócili z powodu zbyt powolnego poruszania się wgórę. Tak samo zabrakło godzin dnia F. Smythe'owi i E. Shipton'owi, którzy dnia 1 czerwca podjęli drugi, najważniejszy atak. Podczas marszu, Shiptonowi siły odmówiły posłuszeństwa, zdołał jednak

o własnej mocy zejść do obozu. Smythe próbował samotnie posuwać się dalej, i osiągnął wys. ok. 8600 m, ale wyczerpanie i nadciągająca burza i jego zmusiły do odwrotu. Zamiary zaś dalszych szturmów uniemożliwiła niepogoda.

Symbol niedostępnego urwiska dolomitowego, pn. ściana Grosse Zinne (La Cima Grande di Lavaredo) uległa w sez. letnim 1933 r. nieznającemu dziś granic rozmachowi młodej elity alpinistycznej. Pn. ściana Grosse Zinne jest to ponad 700 m wysokie urwisko, dosłownie pionowe i mające wpośrodku ok. 150 m wysoki pas częściowo przewieszonych zerw, pozbawionych jakiejkolwiek depresji — uchodziło też za klasyczny przykład krzesanicy absolutnie niedostępnej, o której zdobyciu nie warto nawet marzyć. A jednak w czasach współczesnych zabrano się do niej z całą energją. Najpiew w 1931 r. świetni alpiniści L. Hall, F. Schütt i W. Stösser wspięli się urwiskiem ok. 200 m, aż pod jego najtrudniejszą partję. Tyleż samo przeszli następnie głośni zdobywcy pn. ściany Dachlu, K. Moldan, W. Rössner i S. Schintlmeister. Nieco później sławna dwójka alpejska, Hans Steger i Paula Wiesinger dotarli najdalej wgórę ściany, 20 m wyżej niż poprzednicy...

A potem pojawili się jako konkurenci Niemców — Włosi. Emilio Comici w 1932 r. pokonał ponad sto m ściany. I wreszcie, w 933 r., atak generalny: w dniu 11 sierpnia Giuseppe Dimai i Angelo Dibona (przewodnicy) dotarli do najwyższego punktu zwiedzenia ściany, t. j. do miejsca, skąd musiał się cofnąć nawet Steger. Burza zmusza ich do odwrotu. Zatem nazajutrz nowy atak: bracia Dimai, Comici, Dibona i Antonio Verzi wdzierają się 65 m wyżej niż dnia poprzedniego. Cały niemal dzień trwa forsowanie 25-metrowej płyty, znowu deszcz spędza ku dołowi, ale klucz ściany zostaje już związany linami. To też w dniach 13—14 sierpnia legendarna ściana zostaje ostatecznie przebyta, zwycięscami zostają Emilio Comici i bracia Angelo i Giuseppe Dimai.

Wrażenie tego sensacyjnego sukcesu alpinizmu akrobatycznego było niebywałe. Dzienniki całego świata ogłosiły obszerne telegramy, pełne podziwu dla wspinaczy. Najbardziej oczywiście cieszyli się Włosi, najmniej Niemcy. Do sforsowania ściany zastosowali zdobywcy 400 m liny, 150 m pętli, 150 haków i 80 karabinków. To też Niemcy skorzystali z tego, aby szeroko cytować opinję sędziwego Juljusza Kugy, gdy mu doniesiono o sukcesie włoskim: „*Nun ist es erwiesen, dass die Nordwand der Grossen Zinne unersteiglich ist*". A stary Hans Barth zanotował to przejście (w „Mitt. d. D. u. Oe A-V" z dnia 1 października 1933 r.) jako „1. Durchnagelung der Nordwand". „*Die alpine Artistik ist um eine Glanznummer reicher, die Berge sind um ein Heiligtum ärmer geworden*" westchnął Barth lirycznie — a tu już w dniach 11—12 września bracia Piotr i Paweł Aschenbrennerowie dokonali II. prz. ściany. Wspinaczka trwała tym razem 22 godz., haków użyto trzydziestu.

Mont Oubliette, jeden z najtrudniej dostępnych szczytów Kanady, zdobyli dnia 27 lipca 1932 r. W. R. Hainesworth i M. Strumia z H. Fuhrerem.

Najwspanialszą niewątpliwie ścianą alpejskiej grupy skalnej Karwendel jest głośna Lalidererwand, ok. tysiąc m wysoki, wspaniale urwisty, gładki i niemal pionowy mur wapienny. Jak wiadomo, pierwsi zaatakowali go i zdobyli (1911) bracia Mayer z A. Diboną; ale droga ich, podobnie jak i na pd. ścianie Meije, nie osiągnęła wprost wierzchołka, lecz wsch. grań. Dopiero w 1931 r. odważyli się E. Krebs i sławny T. Schmid zaatakować urwisko wprawdzie po pr. połaci ściany, ale żebrem skalnem kulminującem w samym wierzchołku. Aż wreszcie w 1933 r. i na tę ścianę przyszedł kres: H. Auckenthaler i H. Schmidhuber w 20 godz. sforsowali ścianę w jej środkowem wypiętrzeniu. Laliderer-*direttissima* wedle coraz bardziej ucierającego się zawołania włoskiego na ten typ dróg) przesłała istnieć, jak tyle już innych stuprocentowo niedostępnych krzesanic alpejskich.

La Meije w 1933 r. zyskała nowy ważny rozdział w swej historji. Dnia 10 sierpnia alpiniści Kilian, Weibert i tow. dokonali V. prz. jej pd. ściany, a dnia 13 sierpnia M. Fourastier z C. Rodier'em pokonali po raz pierwszy jej pn. ścianę, a to drogą przez t. zw. couloir en Z do Brèche du Glacier Carré.

Nowa droga na Mont Blanc od wsch. Sławny rekordzista alpejski, T. Graham Brown (por. „Taternika" z b. r., str. 33) wszedł w dniu 5 sierpnia b. r. prowadzony przez A. Gravena i A. Aufdenblattena, w 15 godz. na Mont Blanc de Courmayeur 4756 m wsch. żebrem wprost z lodowca Brenva. Ponieważ zaś niewiele dni wcześniej (dnia 26 lipca) powtórzył on również (w 13 godz. wspinaczki!) swą sławną z trudności drogę wsch. ścianą na Mont Blanc de Courmayeur (z tymi samymi przew., w warunkach zarówno terenowo jak klimatycznie doskonałych) — jest dziś jedynym na świecie człowiekiem, który poznał w s z y s t k i e trudne drogi na Dach Europy.

Kronika alpinistyczna polska wykazała w sez. letnim niewątpliwe osłabienie w porównaniu z dwoma ub. latami, a to z b. prostych przyczyn: nie mógł uprawiać alpinizmu przechodzący rekonwalescencję Golcz (por. „Taternika" z b. r., str. 79), i nie przybyli w Alpy żadni taternicy z Polski. Jednak pomimo tak niekorzystnego zbiegu okoliczności, możemy zanotować szereg pięknych i w dobrym stylu alpinistycznym utrzymanych wypraw polskich, wykonanych w Pelvoux przez członka STPTT inż. W i t o l d a W y s z y ń s k i e g o. Podajemy listę jego piękniejszych sukcesów: 1) dnia 22 lipca trawersowanie Pic de Neige Cordier 3615 m. (pd.-zach. grań. — pd.-wsch. grań., z 2-ma tow.); 2) w dniach 25—26 lipca próba w. od. pn.

na Tête de la Gandolière 3549 m (z 2-ma tur. franc.); 3) pomiędzy dniem 28 lipca a 3 sierpnia w. na szczyty: Mont Gioberney, Pointe Richardson, Têtes de la Pilatte 3390 m i Les Bans 3651 m; 4) w dniu 7 sierpnia (ze stud. z Grenoble Perkowskim) Mont Pelvoux 3954 m od pd.-zach. zlebem Coolidge'a, zejście do refuge du Sêyé przez Glacier Sons Nom, przełączkę bez nazwy w pd. grani Pic Sans Nom i Glacier du Coup de Sabre; 5) w dniu 9 sierpnia (z Perkowskim) Ailefroide 3959 m pd. granią (drogą Coolidge'a); 6) dnia 12 sierpnia Les Ecrins 4103 m pd. ścianą (drogą Duhamel'a), zejście pn. ścianą (drogą Whymper'a), z Perkowskim.

Polak w Ruwenzori. Notujemy niezwykle ciekawy szczegół z polskiej działalności podróżniczo-górskiej. Odbywający od szeregu miesięcy wędrówkę rowerową po Afryce, podróżnik polski Kazimierz Nowak zapędził się w kwietniu b. r. aż do miejscowości Beni w Kongo Belgijskiem, punktu wyjścia dla wypraw w Ruwenzori. Przyjrzawszy się stąd okutym w lodowce górom — zorganizował naprędce małą karawanę, na czele której, w połowie kwietnia, przez Kalonge (2138 m) dotarł do opuszczonego już głównego obozu Belgów u stóp masywu Stanleya, skąd nazajutrz wspiął się aż do Jeziora Zielonego na wys. 4150 m. Burze śnieżne zmusiły go do odwrotu (por. „Polak na Dachu Afryki", oraz „Czarni na białem" — korespondencje Nowaka w „Na szerokim świecie" z dnia 4 i 11 czerwca b. r.). Wyprawa Nowaka była improwizacją, która udać się nie mogła i pod tym względem przypomina analogiczny wypad Jarosza w lodowce Mac Kinleya. Ale dobrze świadczy o tężyźnie polskich podróżników, nie mówiąc już o tem, że jest pierwszym pobytem Polaka w tych fantastycznie pięknych górach.

Z PIŚMIENNICTWA

ECHA PRASOWE II. WYPRAWY ALPEJSKIEJ STPTT. Przedewszystkiem zestawiamy chronologicznie artykuły pisane przez uczestników wyprawy wprost z Francji dla koncernu wydawnictw „I. K. C." (por. „Taternik" z 1932 r., str. 81): 1) Dr K. Piotrowski: „W przeddzień ataku na urwiska Mont Blanc" („I. K. C." z 30 VII), 2) tenże (pod kryptonimem *rz*) „Alpejski LOPP — Aiguille de Leschaux i dziewczę z wioski nad jeziorem" („I. K. C." z 5 VIII), 3) K. Narkiewicz-Jodko: „Trening alpejski naszych taterników" („Światowid" z 20 VIII), 4) i 5) tegoż: „Najświetniejszym szlakiem na szczyt Europy. Polska wyprawa alpejska zdobywa Mont Blanc bezkonkurencyjną w całych Alpach drogą" oraz „Na dachu Europy. Polscy alpiniści na grani Peteret". („I. K. C." z 21 i 25 VIII), 6) relacja W. Wyszyńskiego „Na skałach i lodach Zielonej Iglicy" („I. K. C." z 28 VIII), 7) relacja W. Birkenmajera „Wśród urwisk alpejskiego Mnicha" („I. K. C." z 1 IX), 8) W. Birkenmajer: „Przez cztery przełęcze w śnieżnym huraganie" („Światowid" z 3 IX), 9) relacja J. Golcza „Szturm Polaków na Mont Blanc lodową granią" („Raz Dwa trzy" z 20 IX). Ponadto „I. K. C." opublikował trzy telegramy przesłane przez uczestników wyprawy (o zdobyciu grani Péteret, Aiguille Verte i Aiguille du Moine), do czego dołączyły się, ogłoszone przez wiele dzienników, dwie wiadomości nadane przez PAT (o przejściu grani Péteret i Aiguille Verte). Wreszcie należy tu wymienić podpisany D. artykuł d-ra H. Szatkowskiego „Tam, gdzie pojechali polscy taternicy: Mont Blanc" („I K. C." z 29 VII), jak również relację *rz* (d-ra K. Piotrowskiego): „Polacy na kongresie alpinistycznym w Chamonix" („I. K. C." z 9 IX), oświetlającą działalność tego kongresu ze stanowiska wysokogórskiego — pierwszy z wielu polemicznych artykułów i notatek, ogłaszanych w „I. K. C." na ten temat.

Poza koncernem „I. K. C." możemy wymienić chronologicznie następujące artykuły i dłuższe notatki związane z wyprawą: 1) Dr. T. Kiełpiński: „Polska wyprawa na lodowcach Alp" („Polonja" z 30 VIII), 2) tenże: „Polscy taternicy na lodowcach alpejskich" („Dziennik Bydgoski" z 31 VIII), 3) „Polska wyprawa alpinistyczna odnosi sukcesy" (notatka w „Przeglądzie Turystycznym" z 1 IX), 4) D: „Polskie lato w Tatrach i w Alpach" ("Raz Dwa Trzy" z 27 IX), 5) J. A. Szcz.: „Polski sport wysokogórski w 1932 r." („Czas" z 2 X), 6) J. A. Szczepański: „Polacy zdobywają Alpy" ("Przegląd Sportowy" z 8 X), 7) „Na dwóch biegunach: o alpiniźmie i wioślarstwie" („Gazeta Polska" z 11 X), 8) „Przegląd Turystyczny" („Kalendarz I. K. C. na rok 1933", str. 218—219), 9) J. Golcz: „Zdobywamy Mont Blanc" („Przegląd Turystyczny" z 1 XII), 10) J. Kozielski: „Polacy w Alpach" („Wierchy" z 1932 r., str. 194-195), 11) J. Golcz: „Przez Eperon de la Brenva na Mont Blanc" („Gazeta Polska" z 2 I) 12) J. Bujak: „Śmiertelna jazda. Wspomnienia uczestnika polskiej wyprawy alpejskiej" (ozdobiony znakomitemi zdjęciami artykuł w „Ilustracji Polskiej" z 22 I, do czego „Ilustracja Polska" dodała jeszcze zdjęcia W. Birkenmajera w n-rze z 12 II) — pozatem kilka jeszcze bibljograficznych pozycyj, o których nie zdołaliśmy zebrać bliższych danych (np. notatka „Gazety Polskiej" z 3 IX: „Polska turystyka wysokogórska na wyższych studjach w Alpach".

Co do zagranicznych odgłosów wyprawy, zauważyliśmy dotychczas: 1) „Bulletin trimestriel de la Section de l'Isère du CAF" w n-rze z września ub. roku wymienia jako

„ascensions brillantes“ wejścia Golcza i tow. na Mont Blanc graniami Péteret i Breeva, co potem dokładniej rejestruje w liście wypraw alpejskich swoich członków; 2) toż samo pismo w n-rze z czerwca b. r. zapisuje wejście Wyszyńskiego i tow. w grupie Mont Blanc; 3) „Alpinisme“, nr. 28 (str. 168) notuje całkowite zdobycie pd.-zach. grani Aig. du Moine, co powtarza również w swoich „Turenberichte“: 4) „Mesterreichische Alpenzeitung“, zesz. 1130 (przekręcając przy tej okazji nazwisko Chwaścińskiego na „Charciński“); wreszcie 5) „Alpinisme“, nr. 29 (str. 232) zapisuje również polskie przejścia grani Brenva i Péteret.

KORESPONDENCJA

Jeszcze o »Mount Everest 1924«.

Do Redaktora „Taternika“.

„Wiadomości Literackie“ (Nr. 37 [508] z dnia 27 sierpnia 1933 r.) ogłosiły list p. Stanisława Dobrzyckiego j-ra z Poznania, stwierdzający, że książka p. Jalu Kurka „Mount Everest 1924“ jest „z wyjątkiem wstępu (str. 1—13) i zakończenia (str. 67—93)... częściowo przekładem, częściowo adaptacją dzieła pułk. Nortona p. t. „La dernière expédition au Mount Everest“. Na dowód prawdziwości swego twierdzenia przytacza p. St. D. in extenso ustęp ze str. 54. książki p. Kurka, który jest identyczny z odpowiednim ustępem u Nortona (str. 120).

P. Jalu Kurek napisał odpowiedź (p. „Wiadom. Liter.“ Nr. 39 [510] z dnia 10 września 1933 r.) składającą się z czterech punktów. W pierwszych trzech przyznaje, że korzystał „nie z jednej, ale z kilku źródłowych książek, dotyczących przedmiotu“, ale broni się przed zarzutem plagjatu i dowodzi, że wolno mu było „być wiernym“ (sic!) tekstowi Nortona.

Natomiast w czwartym punkcie swej odpowiedzi zmienia p. Kurek nieoczekiwanie front i pisze j. n.: „Cieszę się, że ktoś mi zarzucił (zupełnie zrozumiała) zależność od angielskich źródeł. W ten sposób został skompromitowany organ alpinistów polskich „Taternik“, który mi wypomniał ignorancję w traktowaniu przedmiotu (mnie, który scenerję górską wiernie oddaję z relacji oficjalnej!)“.

Na to naiwne twierdzenie odpowiedzieć należy co następuje:

1) Moja ocena książki p. Kurka (p. „Taternik“ z 1933 r., str. 47), kulminująca w stwierdzeniu, że „niema w niej autentyczności i prawdy“, jest słuszna nietylko w odniesieniu do tych ustępów, które p. Kurek napisał samodzielnie (wdg. p. St. D. około trzecia część całości), a których sam autor bynajmniej nie bierze w rachubę, ale także do tych, które są „wierne“ tekstowi Nortona.

Każdy uczeń w szkole wie, że można odpisać dobrze i wiernie, lub źle i fałszywie. P. Kurek odpisuje w ten sposób, że zniekształca zupełnie relację oficjalną, a jego ujęcie sprawy dowodzi ignorancji (zwłaszcza w zakresie scenerji górskiej).

2) Nie mam bynajmniej ochoty ani czasu na odnośne studja porównawcze, ale już w krótkim cytacie z listu p. St. D. znajdujemy dwa rażące przykłady znawstwa językowego i alpinistycznego p. Kurka. I tak: *la limite supérieure de la bande de grès* (co znaczy: górny skraj piarżystego zachodu) tłumaczy p. Kurek: „granica górnego pasa piaskowców“, co odnośny opis pozbawia wszelkiego sensu. Dalej, słowa *grand couloir ou goulet, qui descend verticalement* (co znaczy: wielki żleb lub rozpadlina, spadająca pionowo) zastępuje p. Kurek „widocznym gankiem, który spada pionowo“. Ten zwrot powinien być absurdem nawet dla autora — przecież ganek jest formacją horyzontalną!

Nie wiem, czy p. Kurek zrozumie, że tak spreparowana najautentyczniejsza relacja przestaje być autentyczną.

3) Jeśli zatem nietylko zarzucą, ale nawet kiedyś w całej rozciągłości udowodnią, że „Mt Everest 1924“ jest plagjatem, to oczywiście będzie tem skompromitowany jedynie autor tej książki, a nigdy „Taternik“, organ polskich alpinistów. Dr Jan Kazimierz Dorawski

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.
Kraków — Drukarnia „Powściągliwość i Praca“.